№ 34. Warszawa, dnia 10 (22) Sierpnia 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

Kazimierz Brodziński.

I.

Pięćdziesiąt lat temu, spoczął w obcej ziemi, na cmentarzu drezdeńskim, drogi polskim sercom poeta, Kazimierz Brodziński. Padł on jak rolnik na zagonie, przywalony ciężarem zdobytych plonów. Przeżył zaledwie lat czterdzieści cztery, ale ktokolwiek spojrzy na ogrom prac przez niego wykonanych, dziwić się nie będzie, że wątłe siły, sprostać nie mogły tylu podjętym trudom. Młodzieńcem pochwycił w rękę oręż, później zamienił go na pióro i wystąpił śmiało do zapasu, w imię nowych ideałów, wstrząsających światem, pod hasłem romantyzmu. Torował on drogę olbrzymom, którym dano było odnieść stanowczy tryumf i przyćmić karczownika blaskiem swych aureoli.

Jakoż przyćmili go, ale tylko na chwilę. Ciż sami olbrzymi, oddali mu sprawiedliwość. Mickiewicz nazwał go „naczelnikiem szkoły romantycznej w Polsce"; przyznał mu prorocze widzenia czcigodny Bogdan Zaleski nadał mu najpiękniejsze imię, zowiąc go „prawym kmieciem Bożym".

Kazimierz Brodziński urodził się we wsi Królówce na Haliczu, 1792 r.

W pełnym barwy obrazie kreśli Brodziński sielankę swej młodości, która, jak mówi, wielki wpływ wywrzeć miała na całą jego przyszłość. Rzućmy za nim okiem w ową śliczną ustroń, zobaczmy z jaką odmalował ją miłością.

„Dworek w którym ojciec mój mieszkał, leżał w dolinie, oblany rzeczką, która z góry spadając, po każdym deszczu wzbierała, a po kamiennem łożu, tocząc się z wierzchołka gór, wydawała szum wielki. Chaty rozrzucone po górach, między sadami, czarujący przedstawiały widok. Ku wschodowi od dworku, była za podwórzem i stawem rozległa łąka, na której mała krynica zarosła krzewem i kępiastemi ziołami różnej barwy, była siedliskiem ptactwa i motylów. Młyn wodny szumiał z łoskotem, a za nim murawa wysadzana rzędem wierzb, nęciła mnóstwo wiejskich dzieci, których piszczałki i śpiewy rozweselały poważną ciszę tego miejsca. Po boku rozciągały się pasma gór coraz wyższych, a w pogodny ranek wzniesione ku niebu Karpaty, były dla mnie jakby granicą ziemi.

„Drogą wijącą się po grzbiecie gór, ciągnęły liczne wozy. Dalej czernił się las jodłowy i niknął gdzieś w dolinie, po drugiej stronie dworu; dwa dęby nadzwyczaj wielkie panowały nad całą osadą. O kilkanaście staj, widać było na wzgórzu murowaną Lipnicę, z trzema starożytnemi kościołami; droga wysadzana wierzbiną, wiodła tam przez łąkę i cmentarz."

To miasteczko, mimo cudnego położenia, było czarną plamą na słonecznem tle życia wiejskiego, tak drogiego naszemu Kazimierzowi. W owem miasteczku była niemiecka szkółka a w niej nauczyciel niemiec. Tam biedny chłopczyk, czy to w skwar letni, czy w śnieżycę zimową, biegł co rano z bratem Andrzejem. Przypatrzmy się bliżej postaci tego strasznego nauczyciela, którego widok sam przejmował dziatwę grozą. Miał włosy pudrowane, wystrzyżone z przodu, ogromny warkocz i długie fryzowane loki, które mu uszy zasłaniały. „Przy szpiczastem czole, dziwnie to wyglądało, mówi poeta, i różniło tego człowieka, od wszystkich ludzi jakich w życiu widziałem. Długa kamizela i surdut z klapami po kostki, pobielony na plecach warkoczem, przy wolnym, pedanckim chodzie, jednał mu od nas dziwne poszanowanie. Ogromne oczy i wargi wypukłe, panowały nad szerokim nosem. Brzezina, którą sam przynosił z lasu, była u niego najważniejszym punktem pedagogiki. Szkoła przedstawiała okropny widok. W środku wisiał wielki drewniany krucyfiks: za ręce i nogi Chrystusa, zatknięte były w gwoździach wielkie rózgi, kilka prętów i dyscyplina. Był to wizerunek szkolnej passyi. Pan profesor wszedłszy do szkoły z groźną miną, przystępował do składu rózg, próbował ich z świstem przerażającym i uzbrojony tem berłem, rozpoczynał poranną modlitwę. Dniem najokropniejszym była sobota, w tym dniu wykładano po niemiecku katechizm, w którym ani treści rzeczy, ani języka, nie rozu-

mieliśmy wcale. Nikt prawie za katechizm ujść chłosty nie zdołał. Trwogi w tym dniu opisać niepodobna. Każdy zapytany, po pierwszem zająknieniu, występował klęcząc na środek izby; ławki się wypróżniały, wszystko klęczało, oczekując ze drżeniem ostatniego ucznia. Poczem wszyscy dalejże w płacz i w prośby. Nic to nie pomogło, każdy według wieku odbierał przeznaczone mu plagi."

Cztery lata przetrwał Kazimierz w tej nieszczęśliwej szkole, a jednak miał on chwile niezrównanej radości, któremi hojnie okupywał i chłostę szkolną i chłód domowego ogniska, chwile błogosławione, bo w nich jakby w żywej krynicy, zanurzyło skrzydła młode orlę i zahartowało do samodzielnych polotów.

„Należałem, mówi Kazimierz, do chłopców wiejskich, z nimi też zabrałem szczerą przyjaźń. Co to była za rozkosz, po ukończonej szkole, puścić się z nimi między góry i sady, dostać się po głodzie i nudach, na drzewo wiśniami lub gruszkami obciążone, pocwałować na owych maleńkich konikach, prowadzonych na paszę w dalekie dąbrowy; kąpać się, lub iść do lasu bosą nogą, środkiem piaszczystej strugi. W tych najmilszych zabawach, z prostymi wieśniakami byłem najszczęśliwszym. W domu nikt się o mnie nie troszczył i nie brano mi za złe, choć się najdłużej bawiłem. Życie takie uczyniło mnie nieśmiałym do ludzi wyższego stanu nad wieśniaczy, lecz wiele mu zawdzięczam; w niem rzeźwiłem słabe z urodzenia zdrowie, przy niem nabrałem przywiązania do zacnych naszych rolników. Z jakąż rozkoszą przypominam sobie chwile, gdy chłopcy uczyli mnie konia dosiadać, iść z broną, nawracać ją na inny zagon. Podczas mglistej jesieni trawiłem wieczory przy kopaniu kartofli, lub przy pasterzach, gdy siedząc w okół ogniska, opowiadali kolejno bajki, które składały wtedy dla mnie jedyną literaturę.

„Wieśniacy tych okolic, obok naturalnego rozumu, więcej mają oświecenia, porządniejsi są, trzeźwiejsi, niż w innych stronach Polski. Ojciec mój osadzał na roli dworskiej, ubogich wyrobników, z małemi obowiązkami.

Wdzięczność ich była nieograniczoną. Żadna wieśniaczka nie przyszła do dworu, żeby nam tajemnie przed macochą, owoców lub kukiełek z jarmarku nie przyniosła.

Żniwiarki pieściły nas, obsypywały jabłkami. Ta opieka i troskliwość prostych ludzi, serdeczną budziła we mnie wdzięczność.

„Latem mieszkaliśmy w stodole. Obok nas mieszkał stary karbowy z żoną. W małej ich izdebce, przy płonącym ogniu na kominie, przesiadywaliśmy długie, zimowe wieczory. On był starym żołnierzem; miłeż to były wieczory, kiedy przy pieczeniu kartofli opowiadał o krajach włoskich i francuzkich, gdzie jadł chleb biały i pijał wino."

Chłopcy chciwie chwytali opowieści wiarusa i wybiegali myślą po za góry i lasy jodłowe, w świat szeroki, nieznany.

Zatrzymaliśmy się dłużej, nad dziecinnym wiekiem poety, nad atmosferą, pod której wpływem rozwijać się począł jego umysł, bo i któż nie wie, jak potężną jest siła pierwszych wrażeń, na cały przebieg życia. Określił to wieszcz nasz, w wierszu do Kajetana Koźmiana:

Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały;
Choć ubieży sama szparko,
Rzut jej dłuta wiecznotrwały.

II.

W jedenastym roku życia, skończyło się to pasmo dni dziecięcych, złotemi przeplatanych strzępkami. Oderwany od towarzyszów, od ciepłych ognisk kmiecych, Kazimierz dotkliwie jeszcze uczuł sieroctwo swoje. Ojciec wysłał go ze starszym o pięć lat bratem Andrzejem, na dalszą naukę do Tarnowa; tu wyuczył się tylko niemieckiego języka i łaciny, o dziejach ojczystych nie powziął najmniejszego pojęcia, z książką polską nie spotkał się wcale. To też gdy Andrzej w parę lat potem, przeniósł się na uniwersytet krakowski, Kazimierz nieodstępny towarzysz brata, obojętnem okiem patrzył na pomniki starych Piastów i Jagiellonów, nie pojmując ich doniosłości. W szkole krakowskiej zarówno jak w tarnowskiej, pobierał nauki w obcym, niemieckim języku, wolne zaś chwile spędzał na górze Ś-tej Bronisławy, zbierał zioła, karmił się wonią swojskich macierzanek.

Ojciec umarł, macocha zabrała chudobę, brakło środków na dalsze utrzymanie sierot, Andrzej znalazł zajęcie w biurze, Kazimierz nie wiele myśląc, piechotą, o chłodzie i głodzie, puszcza się w drogę; może widok pokrzywdzonego pasierba, poruszy sumienie macochy, może wydobędzie od niej choć okruchę ojcowskiego spadku. Po drodze wstąpił na cmentarz, zapłakał na grobie ojca; drżący z przestrachu, kołace we wrota, macocha złamana nieszczęściem, nie odtrąca go, daje mu przytułek na poddaszu, nim opieka rozpatrzy sprawę. Maleńki miał być ów spadek, niedostateczny nawet na dokończenie nauk, ale Kazimierz znalazł pod strychem skarb drogocenny, wór pełen papierów i drukowanych broszur. Były tam mowy z sejmu czteroletniego, a co więcej zbiór wierszy okolicznościowych: Trembeckiego i innych poetów Stanisławowskiej epoki.

Świat jakiś nowy, nieznany, błysnął przed okiem Kazimierza. Dotąd nie czytał prawie polskiej książki a oto wpadają mu nagle w rękę, rymy w cudną ujęte formę. Z bijącem sercem rozczytuje się w nich, bada tajemnicę ich uroku, przeczuwa ją, odgaduje sztukę rymowania. I ucieka do lasu, krążąc po zaroślach wydobywa z głębi duszy własną piosnkę, pragnie dostroić ją do klasycznego rytmu, jaki podzwania mu z pieśni Trembeckiego i Naruszewicza; ale silniej jeszcze podzwania mu melodya pieśni pastuszków i żniwiarek i odbija w każdej wyśpiewanej przez niego zwrotce.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nad poziomem.

Przyszłość zagadką! Ja nie wiem jak długo,
Bóg na tej ziemi życia mi przeznacza;
Lecz to przeczuwa moja myśl prostacza,
Że wieczność błyśnie żywych świateł strugą.

Wiem, że tam własną nie dotrę zasługą,
Bo mych przewinień przepaść mnie otacza,
Ale PAN, w sądach ze skruszonym sługą,
Wiele dopuszcza i wiele przebacza.

Wiem, że nie jednę moję winę zmaże
Łza skruchy, boleść cierpliwie zniesiona,
I walk wewnętrznych cierniowa korona...

Dziś błogosławię tę dłoń co mnie karze;
Wszakże myśl ziemska w mojej duszy kona,
Za niebem tęsknię i o niebie marzę.

Emilia.

W Rad......

ZWYCIĘZTWO ŚPIEWACZKI.

Zdarzenie prawdziwe z czasów Napoleona I-go.

PRZEZ

Romulusa Dwurożyca.

(Dalszy ciąg.)

III.

Po koncercie dworskim nastąpiło kilka innych, które wzmocniły sławę pięknej śpiewaczki i zapał powszechny. Katalani występowała nietylko na scenie, ale także w najpierwszych salonach paryzkich. Że przytem zyskała tłumy wielbicieli pomiędzy najznakomitszą młodzieżą męzką, dodać to byłoby zbytecznem. Jednym z najzapaleńszych czcicieli uroczej artystki był Roland Valabregue, kapitan żandarmeryi cesarskiej, młody, piękny i bogaty, jeden z najświetniejszych oficerów francuzkich.

Po trzytygodniowym pobycie w Paryżu, Katalani jawnie poczęła przygotowywać się do podróży. Sprawa jej kontraktu jakoś uwięzła, gdyż zaszły ważne wypadki polityczne i Napoleon nie miał już czasu myśléć o śpiewaczce, ani o podwyższeniu jej płacy.

Katalani zamierzała jechać do Anglii przez Holandyą i posłała do prefektury policyi, prosząc o paszport do tego ostatniego kraju. Przyniesiono jej odpowiedź grzeczną, ale stanowczą, że z wyższego rozkazu, panna Aniela Katalani żadnego paszportu otrzymać nie może i że w ogóle niewolno jej opuszczać Paryża.

— A to śliczne rzeczy! — wołała rozgniewana śpiewaczka do swej pokojówki. — Jesteśmy więc tak jakby uwięzione?

— Tak jest, proszę pani — potwierdziła Teresina. — Zdaje się, że istotnie nas pilnują.

— Co mówisz?

— Jacyś podejrzani ludzie kręcą się około naszego hotelu. Słyszałam raz od gospodarza, że muszą to być *mouchards* (ajenci tajni).

Katalani załamała ręce.

— Co czynić? Co czynić? — wołała. — A jednak muszę wyjechać do Londynu, muszę, muszę! — powtarzała ze złością.

Przebiegła Teresina zamyśliła się na chwilę.

— Musimy uciec — odezwała się Katalani.

— A jeśli nas pochwycą? — pytała sługa.

— To i cóż nam zrobią? Pod gilotynę ani do więzienia za to chyba nie poślą.

— Trzeba postąpić bardzo chytrze, aby oszukać policyą — mówiła Teresina. — Oczywiście, musimy się przebrać.

Teresina klasnęła w ręce.

— Jak pani wybornie wyglądała w mundurze oficera francuzkiego na scenie opery komicznej w Madrycie! Pamięta pani? Wszak mamy ten mundur w naszej garderobie, a jest jeszcze i drugi podobny...

Długo naradzała się szeptem śpiewaczka z pokojówką. W końcu poweselały obie i śmiały się, po dziecinnemu, do rozpuku, tworząc jakieś ważne plany.

We dwa dni potem, wczesnym rankiem, po chodniku ulicy S-t Antoine, szedł brząkając szablą i ostrogami, kapitan Roland Valabregue. Wstał tak rano, bo miał dopełnić inspekcyi służbowej w koszarach swojej roty. Ulica była jeszcze pusta i bezludna. Wtem na skręcie dał się słyszeć turkot i pokazał się zgrabny koczyk, parą gniadoszów zaprzężony; w koczyku siedzieli dwaj oficerowie, a wyglądali oba prześlicznie, niby cherubinki.

Gdy powóz mijał kapitana, ten mimowoli podniósł rękę do ukłonu wojskowego.

Jeden z oficerków spojrzał jakoś dziwnie na kapitana i uśmiechnął się przytem tak czarująco, uroczo...

— Do licha!—mruczał do siebie Valabregue. — Co to za oficerowie nieznani, a jednak jakby znajomi... Wyglądają jak przebrane panienki, ten zwłaszcza, który tak spogląda i śmieje się uroczo... Do tego dziwne podobieństwo... To chyba Katalani! Ha, ha, ha! Muszę śmiać się sam z siebie... Co za niedorzeczne przypuszczenie!

Odbywszy inspekcyą koszar, młody kapitan skręcił ku Palais Royal i wstąpił na śniadanie do kawiarni du Foy. Schodzili się tu zwykle bogatsi oficerowie; i teraz także było tu pełno młodzieży wojskowej, przyszłych jenerałów, a może i marszałków.

Gdy Valabregue zajął miejsce przy jednym ze stolików, wkoło wrzała ożywiona rozmowa.

— Koncert dzisiejszy odwołano — krzyczał jakiś rotmistrz.

— Policya jest w rozpaczy, Fouché rwie sobie włosy z głowy — dodał otyły pułkownik.

— Podobno cesarz tupał nogami z gniewu—zawołał jakiś lekarz wojskowy.

— *La donna e mobile* — śpiewał młodziutki adjutant.

Kapitan przysłuchiwał się czas jakiś w milczeniu.

— Co to się stało? — zapytał nakoniec sąsiada.

— Jakto? — rzekł zagadnięty — nie wiesz jeszcze, kapitanie, wielkiej nowiny?

— Nic nie wiem.

— Uciekła, odjechała...

— Kto?

— Ależ Katalani, znakomita nasza śpiewaczka.

— Co mówisz, poruczniku?

— Tylko prawdę. Zapytaj kogo chcesz, kapitanie.

— Ha! — zawołał kapitan.

Przyszło mu na myśl spotkanie z młodymi oficerami na ulicy S-t Antoine, ale nie wyrzekł ani słówka.

— No, co sądzisz o tem, kapitanie? — zapytał jakiś major z drugiego stolika. — Wiadomo przecie wszystkim, że należysz do najgorętszych wielbicieli pięknej śpiewaczki.

— O, tak — potwierdził kapitan, nie odpowiadając wcale na pytanie.

— Nie musi ci być lekko na sercu, kolego—ciągnął major — skoro twój cudny ptaszek uleciał. No, wychylmy koniaku!

— Dokąd wyjechała? — zapytał Valabregue.

— Do Holandyi, zkąd niewątpliwie uda się do Anglii.

— Przeklęci anglicy! — zawołał kapitan. — Bodaj przepadli! — dodał, wychylając kieliszek koniaku.

— Zupełnie zgadzamy się z tobą, kolego — wołali oficerowie. — Pijmy na zgubę anglikom! Brawo!

W czasie wrzawy, tym toastem wywołanej, do kawiarni wszedł oficer ordynansowy ministra wojny.

— Pan kapitan Valabregue! — zawołał, podnosząc do góry dużą kopertę z pieczęcią ministeryalną.

— Jestem — odezwał się Valabregue.

— Ważna depesza od ministra wojny! — rzekł ordynans, przystępując do kapitana i podając mu kopertę.

Koledzy otoczyli kapitana, który szybko złamał pieczęć i przebiegł papier oczami.

— Tam do licha! — zawołał. — Minister rozkazuje mi natychmiast udać się do Fouchégo i oddać się do jego rozporządzenia w sprawie ważnej, za wiedzą mego pułkownika. Przecie nie jestem policyantem.

— Ale oficerem żandarmeryi cesarskiej — rzekł jeden z kolegów.

— Może masz uwięzić spiskowych rojalistów — zawołał inny.

— Albo schwytać kogoś ważnego, jak niedawno Caulaincourt i Ordonnez schwytali księcia d'Enghien — odezwał się major.

— Czeka cię pewnie awans — dodał inny kolega.

Kapitan Valabregue wstrząsł się, jakby go żmija ukąsiła.

— Nie życzyłbym sobie wcale pozyskać awansu zasługą tego rodzaju, jak uwięzienie księcia d'Enghien. No, ale żołnierz musi być posłusznym. Idę do ministra policyi.

Pożegnał kolegów i ruszył do Fouchégo.

— Ile pan liczysz sobie lat, kapitanie? — zapytał minister, przywoławszy go do gabinetu.

— Dwadzieścia cztery — odrzekł Valabregue, nieco zdziwiony takim wstępem.

— Hm... w dwudziestu czterech latach już kapitanem... A pragnąłbyś awansu na pułkownika?

— Każdy żołnierz, ekscelencyo, nosi w swym tornistrze buławę marszałkowską, tak powiada cesarz. Awans przyjmuje się chętnie, jako uznanie zasług, a pozyskać sobie to uznanie władzy uważam za swój obowiązek.

— Dobrze mówisz, kapitanie—rzekł Fouché. — Otóż możesz zostać pułkownikiem, jeżeli spełnisz polecenie, które najjaśniejszy pan daje ci przeze mnie.

Kapitan ukłonił się w milczeniu.

— Znasz pan śpiewaczkę Katalani? — pytał minister.

— Bardzo dobrze.

— Widywałeś ją pan z blizka?

— Bardzo często.

— Hm! — rzekł Fouché z uśmiechem. — Wiadomo, że pan należałeś do liczby jej najgorętszych czcicieli i właśnie dlatego cesarz wybrał pana dla spełnienia drażliwego nieco polecenia. Wiesz pan, że Katalani uciekła, wraz ze swą pokojówką?

— Słyszałem o tem przed chwilą w café du Foy.

— Masz więc je dogonić i odstawić do Paryża, kapitanie.

Valabregue drgnął, chociaż domyślił się tego polecenia już od początku rozmowy.

— Proszę o instrukcye, ekscelencyo — wyjąkał.

— Pojmujesz pan — mówił Fouché — że niepodobna było wysłać za nią w pogoń zwykłych ajentów policyjnych. Powstałaby wrzawa w całej Europie.

— Istotnie — rzekł kapitan. — Śpiewaczka nie popełniła przecie żadnego przestępstwa, do tego jest cudzoziemką...

— To prawda. Ale cesarz pragnie ją zatrzymać dla nas i nie chce ustąpić anglikom. W każdym razie sprawa to delikatna i dlatego nie daję panu żadnych bliższych instrukcyi.

— Jeżeli dogonię zbiegów, czy mam w ostateczności uciec się do przemocy?

— Powtarzam, to rzecz pańska. Postąpisz według okoliczności i własnego uznania, bylebyś godnie odpowiedział zaufaniu, które panu cesarz okazuje.

— Jak daleko mam ścigać pannę Katalani? — zapytał kapitan.

— Choćby na brzeg morski, jeśli tego będzie potrzeba. Wydaliśmy właśnie rozkaz do wszystkich władz portowych, a głównie do straży portów holenderskich, aby nie wypuszczano żadnego statku bez szczegółowej rewizyi i zatrzymywano wszystkie osoby, podróżujące bez paszportu. Masz pan oto polecenie do wszystkich pocztmistrzów, aby na każde zawołanie dostarczali panu koni.

— Czy mam jechać sam?

— Zupełnie sam. Mniej to obudzi podejrzeń, a ufamy panu całkowicie. Którą drogę obierasz, kapitanie?

— Pojadę do Valenciennes i ztamtąd traktem flandryjskim.

— Pochwalam zamiar pański. A więc do widzenia, kapitanie. Nie trać pan czasu i ruszaj zaraz. Pragnę z całego serca, abyś zasłużył na szlify pułkownikowskie.

IV.

Wzburzony i miotany najsprzeczniejszemi uczuciami, opuścił kapitan Valabregue mieszkanie ministra policyi. Z początku dręczyła i upokarzała go myśl, że to on właśnie ma ścigać i schwytać osobę, której oddał swe serce, ale później rozważył, że dla śpiewaczki było to daleko lepiej, iż jemu, nie komu innemu, dano to polecenie. Błogosławił też w duszy drugi traf szczęśliwy, przypadkowe spotkanie poranne, dzięki któremu wiedział w jakiem przebraniu uciekła Katalani. Przyznawał jej zupełną słuszność, a potępiał Napoleona i jego sługę Fouchégo, którzy chcieli spełnić gwałt

na swobodzie wolnej cudzoziemki, pragnącej dotrzymać swych zobowiązań. Znał i rozumiał swój obowiązek służbowy, wiedział, że niełatwo uda się mu pogodzić posłuszeństwo otrzymanym rozkazom z własnem przekonaniem i głosem serca; postanowił jednak, bądź co bądź, naprawić niesprawiedliwość tych, którzy dzierżyli władzę i zostać aniołem-stróżem niewinnie prześladowanej, a drogiej swemu sercu istoty.

Ożywiony i pokrzepiony tem postanowieniem, dosiadł najlepszego swego konia i puścił się drogą do Valenciennes. Jadąc, zadawał sobie jeszcze pytanie, dlaczego cesarz i Fouché, wiedząc, jak to okazał minister, o jego uwielbieniu dla Katalani, jego właśnie wybrali do jej ścigania? Czy chcieli wystawić na próbę jego obowiązek służbowy, sprzeczny z głosem serca? Czy może rachowali na to, że jemu, zakochanemu w śpiewaczce, najbardziej powinno chodzić o to, aby Katalani nie opuściła prawdopodobnie na zawsze i bezpowrotnie Paryża?

— Napoleon — mruczał do siebie nasz kapitan — pewno sam użyłby gwałtu, aby przeszkodzić wyjazdowi swej ulubionej. Zdaje się mu więc widocznie, że każdy, a zwłaszcza żołnierz, może i powinien z przyjemnością używać tego środka i odprowadzać przemocą uciekającą kochankę.

W pięć godzin po wyjeździe z Paryża, stanął przed poczthalteryą w Compiègne. Pokazał pocztmistrzowi rozkaz ministra i zażądał konia kuryerskiego.

— Mój koń — dodał — pozostanie tu do jutra, jutro zaś przybędzie po niego mój służący. Proszę mieć staranie o moim wierzchowcu.

— Bardzo dobrze — odpowiedział pocztmistrz.

— Czy przejeżdżali tędy dwaj młodzi oficerowie w powozie? — pytał kapitan.

— Tak jest, ci *panowie* przejeżdżali tędy około południa — odrzekł urzędnik. — Ci *panowie* obiadowali tu nawet — dodał wymawiając powtórnie wyraz *panowie* ze szczególnym naciskiem i znaczącym uśmieszkiem.

— Dlaczego pan z takim naciskiem mówisz ci *panowie?* — zapytał Valabregue.

— Hm, hm... — mówił pocztmistrz. — Bo jakoś mi się zdaje, a nawet gotówbym przysiądz, że nie byli to zgoła oficerowie, ale przebrane damy... Ho, ho! Znam się na tych rzeczach.

Kapitan nie zapytywał już o nic więcej, lecz dosiadłszy konia, puścił się w dalszą drogę. Chciał przed nastaniem nocy dotrzeć do Noyon, gdzie, jak przypuszczał, zbiegi zapewne zanocują. Omylił się jednak w tem przypuszczeniu: gdy przybył do Noyon o jedenastej wieczorem, powiedziano mu, że „młodzi oficerowie" półtory godziny temu już pojechali dalej, przemieniwszy tu tylko konie.

Valabregue potrzebował sam spoczynku.

— Dogonię je i tak jutro rano na drodze do Saint-Quentin — rzekł do siebie i położył się spać, poleciwszy obudzić się o trzeciej.

Pokrzepiony trzygodzinnym snem, nazajutrz o wpół do trzeciej był już na koniu i popędził dalej.

O ósmej rano wjechał do prześlicznego lasu, przecinającego szosę. Był prześliczny poranek letni, słońce weszło oddawna na pogodnem niebie, ale promienie jego nie paliły jeszcze.

Opuszczając las, kapitan ujrzał nareszcie przed sobą szybko pędzący koczyk, a w nim dwóch oficerów. Dał koniowi ostrogi i po kilku minutach znalazł się u drzwiczek powozu.

— Nie omyliłem się — rzekł do siebie — to one.

Oddał podróżnym ukłon wojskowy i przemówił z uśmiechem:

— Śliczny czas do podróży, panowie.

— Prześliczny — odpowiedziała przebrana Katalani. — Poznała kapitana, a na twarzy jej i towarzyszki malowały się przestrach i niepewność.

— Spotkałem już panów wczoraj w Paryżu, na ulicy S-t Antoine — mówił Valambregue.

— Tak jest.

— Zapewne udajecie się, koledzy, do jednego z garnizonów francuzkich w Belgii?

— Istotnie, jedziemy do Ostendy.

— Tak? Nie mam zaszczytu znać panów... Jestem Roland Valabregue, kapitan żandarmeryi cesarskiej.

— Jesteśmy bracia de Canto (*) — odparła Katalani — obydwa podporucznicy.

— Z jakiego pułku, jeżeli wolno wiedzieć?

— Służymy w... w marynarce — odpowiedział niepewnym głosem fałszywy podporucznik.

— Hm, zapewne w marynarce konnej — rzekł z uśmiechem kapitan. — Nie wiedziałem, że w tej broni przemieniono mundury, bo uniformy to dragońskie.

Katalani nic nie odpowiedziała, Teresina zaś, nie mogąc wytrzymać, parsknęła śmiechem.

— Śliczny to pułk, dzielny, niezwyciężony — mówił dalej Valabregue.

— Opuściliście Paryż już po nas, kolego—rzekła śpiewaczka. — Cóż tam nowego?

— O, jest nowina okropna, przerażająca...

— Cóż takiego?

— Katalani uciekła.

— Czy być może?

— Cały Paryż wzburzony — rzekł kapitan.

— Łatwo mogę to sobie wystawić — odparła śpiewaczka.

— Cesarz nie posiada się z wściekłości.

— Można po nim tego się spodziewać — rzekła Katalani.

— Fouché rwie sobie włosy z głowy i nazywa osłami wszystkich swych policyantów, którzy pozwolili ptaszkowi umknąć.

— Ha! ha! ha! ha!

— Znajdujesz to zabawnem, panie podporuczniku?

— Bardzo.

— A jednak, dla pięknej śpiewaczki rzecz to niezbyt wesoła — mówił kapitan. — Nie chciałbym być na jej miejscu.

— Dlaczego?

— Wysłano rozkazy do wszystkich miast portowych Holandyi, aby nie wypuszczono nikogo bez paszportu.

— Śpiewaczka może wyprzedzić owe rozkazy — zarzuciła Katalani.

— W takim razie powinna śpieszyć się bardzo— rzekł kapitan.

— Hej! woźnico, prędzej! — zawołała śpiewaczka. — Dostaniesz pięć franków na piwo, jeżeli staniemy w S-t Quentin przed umówioną godziną.

— Ale — pytała zwracając się do kapitana — zkąd pan wiesz to wszystko?

Droga była tak gładka i wyborna, że kapitan kłusując obok szybko toczącego się powozu, bez przeszkody mógł dalej prowadzić rozpoczętą rozmowę.

(*) Canto, znaczy po włosku śpiew.

— Powiem ci to, panie podporuczniku konnej marynarki — rzekł w odpowiedzi na powyższe pytanie — ale musisz mi przyrzec, kolego, najściślejszą tajemnicę.

— I owszem — odpowiedziała śpiewaczka. — Jestem bardzo dyskretny.

— Otóż wiem to wszystko od samego ministra, ponieważ Fouché, z polecenia samego cesarza wysłał mnie w pogoń za śpiewaczką, dla jej schwytania.

— Tak? — zapytała Katalani — a zgrabne jej rączki nieco drżeć zaczęły.

Zapanowała jednak wkrótce nad sobą, spojrzawszy na kapitana, gdyż w oczach jego dostrzegła bynajmniej nie wrogie zamiary. Rzuciła mu więc ze swej strony figlarne spojrzenie i zapytała z filuternym uśmiechem:

— Jeżeli tak, to dlaczego pan nie śpieszysz się z wykonaniem tego polecenia?

— Dlaczego? hm... Mogę i to powiedzieć: oto dlatego, że nie podzielam zdania pana ministra, który postępuje z panną Katalani niesprawiedliwie. Jedyną rozkoszą tego człowieka, który był niegdyś przyjacielem terorystów: Robespiera, Marata i innych, jest napełnianie więzień, układanie list proskrypcyjnych, kajdany, gilotyna... Nie pochwalam też Napoleona, który prześladuje niewinną istotę: można spodziewać się tego po zdobywcy, wydającym na rzeź krocie ludzi, dla zadowolenia jedynie własnej ambicyi.

— O, o, mówisz pan bardzo rewolucyjnie — zawołała śpiewaczka.

— To też w potrzebie mogę zostać rewolucyonistą — odparł kapitan.

— A jednak przyrzeczono panu zapewne nagrodę za schwytanie śpiewaczki?

— Tak jest, obiecano mi stopień pułkownika. Dowodem zaś, że mówię prawdę, jest ten oto papier.

Mówiąc to Valabregue rozwinął i podał śpiewaczce duży arkusz z pieczęcią i podpisem Fouchégo, noszący w nagłówku magiczne słowa: „w imieniu cesarza!"

Katalani przebiegła szybko papier i rzekła oddając go kapitanowi:

— Jedno mnie tylko dziwi: dlaczego pan, nie przyznając słuszności cesarzowi i jego ministrowi, przyjąłeś jednak to polecenie? Czy obowiązek służbowy tego wymagał?

— Po części tak. Wszelako mógłbym się wymówić, gdyż ściganie ludzi niewinnych, a zwłaszcza kobiet, nie należy do moich obowiązków. Był inny powód, który mnie skłonił do przyjęcia...

— Jakiżto?

— Ale to także sekret, tylko że tym razem nie tajemnica stanu, ale sercowa...

— Mów pan śmiało, będę dyskretnym — rzekła Katalani.

— A więc powiem ci, kolego. Przyjąłem polecenie ministra dlatego, że kocham i ubóstwiam pannę Katalani.

— O, o! — zawołała śpiewaczka. — I sądzisz pan, że ona dowie się o tem z przyjemnością?

— Śmiem mieć tę nadzieję. Nieraz spoglądała na mnie łaskawie, a teraz może zarobię sobie na coś więcej, gdyż postanowiłem być jej aniołem stróżem.

— Brawo! Dzielny z pana rycerz, kapitanie. Jesteś tyle szlachetny i śmiały, ile przezorny i bystry...

— Dziękuję za komplementa, panie podporuczniku marynarki konnej — rzekł Valabregue, pokręcając wąsa.

Tu przerwała się rozmowa. Powóz śpiewaczki musiał ustąpić nieco z drogi ładownemu wozowi frachtowemu, a kapitan pozostał w tyle.

— Jaki to dobry żandarm! — szepnęła Teresina do swej pani. — Gdyby wszyscy żandarmi byli tacy, nie miałybyśmy czego się obawiać. A jak pięknie mówi!

— Prawda — potwierdziła śpiewaczka. — Człowiek to bardzo rozumny.

— Do tego piękny, co się zowie, mężczyzna—dodała pokojówka. — Co za wąsy!

— Czy podobały się i tobie? — pytała z uśmiechem pani.

— O, z pewnością.

Wóz frachtowy przejechał i kapitan zbliżył się znów do powozu.

Tym osobliwszym sposobem wyznał po raz pierwszy swe uczucia pięknej Anieli.

(*Dokończenie nastąpi.*)

DWA LISTY Z AFRYKI.

PRZEZ

J. Hanningtona.

LIST II.

(Dalszy ciąg.)

Kiedym zasiadł do spożycia dobrze zapracowanego posiłku, Mumu wszedłszy, wywołał mnie z namiotu, mówiąc, że wioślarze nie chcą jechać dalej, jeżeli im nie dam większej zapłaty i o ile się zdaje, zamierzają nas porzucić. Poszedłem do nich ale nic nie mogłem wskórać, przemilczałem jednak o całej sprawie nie chcąc niepokoić towarzyszy. W nocy spałem mało, bojąc się iżby wioślarze nie uciekli i nie pokradli naszych pakunków. Zastałem ich jednak wszystkich. Trzy drogocenne godziny zmarnowałem na targach, w końcu musiałem się zgodzić na dodatkową dopłatę i dopiero wtenczas wyruszyliśmy koło jedenastej przed południem w dalszą drogę. Zaledwie cokolwiek ujechaliśmy, gdy nagle zerwała się burza, musieliśmy więc zawinąć do brzegu: a czas był wielki, bo rozszalał się straszliwy huragan i wielkie fale zalewały wybrzeże zmiatając wszystko po drodze. Byłbym chętnie tu przenocował, dzień miał się ku schyłkowi, ale musieliśmy płynąć dalej, gdyż trzy hipopotamy bardzo drapieżne i niebezpieczne ścigały nas zapalczywie, ale wioślarze tak spiesznie wiosłowali, że pozostawiliśmy je daleko za sobą. Ogromna liczba krokodylów pływała także na falach, nie czułem też żadnej ochoty do kąpieli.

Słońce już zaszło a my wciąż byliśmy na wodzie. Spojrzałem na blade twarze moich chorych, na pakunki, na namioty, na naszych bezbronnych chłopców i na dzikich łotrów przy wiosłach i serce moje przejęła trwoga. Dopiero o ósmej wieczorem przybyliśmy do miejsca przeznaczonego przez wioślarzy na nocleg. Było tak ciemno, że długi czas upłynął, zanim znaleźliśmy przerwę w nadbrzeżnych trzcinach, przez którą możnaby na brzeg się wydostać, a gdyśmy już wylądowali, zastaliśmy grunt tak bagnisty i nierówny, że niepodobna było na nim rozbić namiotu. Musieliśmy zatem wlec się jeszcze jakie pół mili, zanim znaleźliśmy z wielką naszą radością ludzką siedzibę. Wyobraźcie sobie spokojnego jej mieszkańca, który już się spać położył, zbudzonego nagle przez białego człowieka, pierwszy raz w życiu przez niego widzianego. Na szczęście, nie przyszło mu do głowy próbować dzidą o ile jestem nadziemskiem zjawiskiem; oświadczył tylko wspaniałomyślnie, że możemy się umieścić na noc w stajni zajmowanej przez kozy.

— Niepodobna! — zawołałem patrząc na grubą, co najmniej do kostek warstwę nawozu, pokrywającego ziemię. — Jeżeli nam pozwolisz przenocować w zagrodzeniu, gdzie będziemy bezpieczni od lampartów, to nam wystarczy.

Nowy nasz gospodarz, po małym namyśle przystał na to, wróciłem zatem do towarzyszy i z wielką trudnością doprowadziłem ich po nierównym gruncie na ten nocleg pod gołem niebem, z takim trudem i mozołem zdobyty. Właściciel, widząc nasz smutny stan, wspaniałomyślnie ustąpił nam swojej chaty, ale oznajmiłem, że pozostaniemy na dworze, chyba gdyby deszcz zaczął padać.

Zaledwie łódź przybiła do brzegu, wioślarze zawrócili natychmiast, pozostawiając nas własnemu przemysłowi i zabrali z sobą drzewo; wszystkie zatem kłopoty spadły na moją głowę i dosyć czasu upłynęło, zanim zdołałem przygotować jakiekolwiek pożywienie.

O drugiej po północy deszcz zaczął padać: chorych przeto przenieśliśmy do chaty, ale ja wolałem się owinąć w płaszcz i pozostać na dworze. Gdy dzień zajaśniał zobaczyłem z rozpaczą, że czółno nabrało wody przez noc i wszystkie pakunki zamokły. Bolesna rzecz patrzeć na swoje notatki, barometry, żywność w takim stanie, ale człowiek, który jedzie do Środkowej Afryki, powinien być przygotowany na wszystko, co mu tylko w życiu najbardziej dolegać może.

Chociaż nadludzką siłę czułem w sobie wśród przeciwności, po nocy jednak bezsennej i podróży trwającej od godziny w pół do szóstej rano do jedenastej wieczór, nie byłem w stanie wynieść ładunku z łodzi, coraz się bardziej zanurzającej. Mzee i jego ludzie odmówili nam wszelkiej pomocy, razem więc z mymi chłopcami musieliśmy pracować podczas ulewnego deszczu, który uspokoił się dopiero koło jedenastej rano; poczem przeprowadziłem towarzyszów do łodzi i zaraz potem w dalszą wyruszyliśmy drogę, a Mzee nam oświadczył, że postanowił wysadzić nas przy najbliższym lądzie, gdyż ma już dosyć tej podróży. I my mieliśmy go dosyć także, aby nigdy nie zapomnieć wszystkich przykrości jakie nam wyrządził.

— Jak więc daleko jesteśmy od stolicy Romwa? — zapytałem Mzee.

— Romwa — odrzekł — nie w tej znajduje się stronie.

— A czy tu można znaleźć i wynająć łodzie do dalszej podróży?

— Nie ma ani jednej zdatnej do tego—odrzekł najspokojniej w świecie — a ja po wypoczynku wracam zaraz do domu ze wszystkimi memi ludźmi.

— Jeśli więc nas tak porzucisz tutaj, to z pewnością zginiemy wszyscy bez ratunku.

— Być może — odrzekł niegodziwiec — ale cóż mnie to może obchodzić?

— Tak powiadasz i to stanowczo? — zapytałem hamując w sobie uniesienie.

— Tak — odrzekł bez wahania — nie zwykłem zmieniać postanowienia raz zrobionego.

— I ja to samo — z równym odrzekłem spokojem i w tej chwili wydobyłem rewolwer z za pasa i skierowawszy go do piersi niegodziwca, rzekłem:

— Mam zginąć z mymi ludźmi i to z twojej przyczyny, gińmyż razem: raz! dwa!...

Mzee zbladł jak ściana i ledwo wybełkotał:

— Panie! nie żartuj...

— Gotuj się na śmierć! — zawołałem — bo i ja nie zmieniam tego co raz postanowiłem. Raz! dwa!...

— No, to już popłynę z wami gdzie zażądacie— zawołał Mzee drżąc i zastawiając się ręką—tylko, panie, nie groź mi tak strasznem narzędziem...

— Dobrze, przebaczę ci — odezwałem się odejmując broń od jego piersi — ale przy pierwszej podobnej jak dziś awanturze, pamiętaj, że zastrzelę cię bez żadnej litości i wrzucę w jezioro na pożarcie krokodylom...

Była to straszna groźba, której Mzee tak się zląkł, że drgnął i jęknął jakby boleśnie zraniony.

Znalazłem więc sposób na łotra, byłem już odtąd panem położenia i dzięki jednemu energicznemu wystąpieniu, życie nasze ocalone zostało.

Pragnąc jednak wszystko puścić w zapomnienie, obiecałem wioślarzom kozła, jeśli nie będą robić więcej awantur, co przyjęto z radosnemi okrzykami i wylądowaliśmy na śniadanie w najzupełniejszej zgodzie, mając nadzieję, że już się skończyły nasze trudności.

Omyliłem się jednak, po ukończeniu bowiem śniadania, gdy płynęliśmy dalej, już nie Mzee, ale wioślarze, zapewne przez niego namówieni, z najzimniejszą krwią oznajmili, że dopłyną z nami tylko do najbliższej wsi i tam nas pozostawią.

Z jednym Mzee łatwiej było radzić, ale co tu robić z całą gromadą, do buntu przez niego podmówioną?

Położenie więc było bardzo krytyczne; pozostać wśród dziczy afrykańskiej, z chorymi towarzyszami, bez nadziei prawie wydobycia się, było rzeczą okropną, na samą myśl czego truchlałem.

Przybyliśmy nareszcie ku lądowi i, ku wielkiej mojej radości, zastałem tam ludzi naszych, których posłałem lądem, miałem więc już cały oddział gotowy na moje rozkazy, do noszenia pakunków, rozpinania namiotów i maszerowania w porządku. Dowiedziałem się od nich także, iż stolica Romwy blizko się znajduje.

Zatrzymaliśmy się na miejscu dwa dni, a tymczasem Romwa zapytywał wyroczni, czy przybycie białych ludzi nie przyniesie mu nieszczęścia, na co wyrocznia odpowiedziała:

„Biali ludzie będą pożyteczni dla ciebie i dla twojego ludu, ale szkodliwi dla lekarzy."

Przez ten czas dostałem gwałtownej febry, nie mogłem się jednak poddawać chorobie, bo ktoś przecie musiał zajmować się zarządem. Cierpiałem bardzo, ale dopilnowałem naładowania łodzi i wyruszenia w podróż, zaledwie jednak odbiliśmy od brzegu okazało się, że w łodzi jest strasznie szpara, a wioślarze pijani. Wysiedliśmy na ląd i naprawili szparę, a przez ten czas, reszta wioślarzy upiła się na dobre, tak że cała gromada była w połowie tylko przytomną. Następstwem tego była zuchwałość do niezniesienia; krzyczeli i wyli, tak że moi biedni chorzy towarzysze męki cierpieli wśród tego hałasu.

Nagle dowódzca ich wstał i zaczął wykonywać na stosie pakunków rodzaj wojennego tańca, a zakończył przewróceniem się i stoczeniem na mnie. Tego już było zanadto, odepchnąłem go z gniewem i ostrzegłem, że na drugi raz zostanie skąpany w zimnej wodzie, co go wprawiło w taką wściekłość, iż zawołał na wioślarzy, żeby nas wysadzili

na pusty brzeg i tam zostawili. Odmówili jednak obawiając się Romwy. Skutkiem tego zaczęła się bójka zakończona upadkiem kapitana. Zerwał się jednak i z dziką wściekłością pochwyciwszy wiosło, wymierzył cios w głowę Adena; na szczęście chybił, lecz wiosło roztrzaskał w kawałki.

Choć słaby, porwałem się z miejsca, schwyciłem go wpół i posadziłem na ziemi, nakazując siedzieć spokojnie. Wtem jeden z bliższych wziął mnie w objęcia i klepiąc po ramieniu mówił:

— Biały człowieku, uspokój się! uspokój! Nie gniewaj się! Popłyniemy zaraz, naprawdę popłyniemy. Biały człowieku uspokój się; powoli, powoli!

I za każdem słowem klepał mnie poufale po ramieniu lub plecach, tak że w końcu wybuchnąłem śmiechem, w którym zapomniałem o wrzącym we mnie gniewie.

Dziewiątego Stycznia przybyliśmy do Romwa; miejscowość ładna, rozbiliśmy namioty na skale obrosłej pięknemi krzewami, zkąd widok rozciągał się na olbrzymie jezioro.

Sułtan Romwa sam, jak się to często zdarza, z blizka był o wiele mniej przyjemny i wprędce zaczął wyciągać od nas resztki towarów, jakie nam jeszcze pozostały. Zabobony panują w całym kraju, którego każdy zakątek jest widownią okrucieństwa i zbrodni, świadczących wyraźnie, zbyt wyraźnie nawet o konieczności rozkrzewiania przez misyonarzy nauki Chrystusa wśród tych biednych, znikczemniałych istot.

Jakiś czas u Romwy byliśmy prawie więźniami, i nie wiedzieliśmy kiedy nam pozwoli wyjechać. W końcu zezwolił na mój wyjazd, pod warunkiem że reszta pozostanie. Wyruszyłem więc dwudziestego drugiego Stycznia, z dwoma chłopcami, choć miałem silny paroksyzm febry w przeddzień i nie czułem się na siłach do znoszenia trudów. Mimo to wstałem rano i udałem się do królewskiej rezydencyi, gdzie mi kazano czekać całą godzinę; przez ten czas zostałem obejrzany przez królewskie żony i potem upłynęła znowu godzina, tak że zaledwie o jedenastej rano mogłem w podróż wyruszyć. Wkrótce po wyjeździe zerwała się burza, w czółnie otworzyła się szczelina, przemoczyło się posłanie i o północy dopiero wylądowaliśmy, niepewni czy krajowcy są dla nas przyjaźnie usposobieni. Przemokłe rzeczy kazałem przenieść trochę dalej, za bagnisty pas otaczający jezioro, ale chłopcy moi i wioślarze obawiali się zostać tak daleko od łodzi, więc ja sam tylko, wyciągnąłem znużone ciało pod osłoną parasola, gdyż deszcz padać nie ustawał. Niepomnąc na dzikich ludzi, ani na drapieżne zwierzęta, zasnąłem. Wprędce jednak, jakiś groźny ryk przebudził mnie i roztrzeźwił. Co to być może? Lew? Nie!—lwy nie robią tyle hałasu. To był hipopotam,—przyszedł tu zapewne szukać pożywienia, i zatrzymał się na widok dziwny białego człowieka uśpionego w cieniu parasola, a przypatrzywszy się mi zawrócił się i uciekł napowrót do jeziora. Straszne to stworzenie, przerazić może każdego swoim ogromem i brzydotą.

Trzydziestego Stycznia 1884 roku poszedłem dalej z dwoma chłopcami i sześcioma ludźmi,—pozostawiwszy naszego krewnego Gordona w Kageye, aż do nadejścia rzeczy, które zostawiliśmy w Msalala. Miałem przejść kraj Urima, w którym dotąd nie postał jeszcze żaden biały. Było to zuchwałe przedsięwzięcie, ale nie obawiałem się napaści ze strony krajowców, nie widząc do niej żadnego powodu. Gdy jednak wszedłem w granice państwa Urima, około dwustu uzbrojonych wojowników otoczyło mnie; zrozumiałem że najmniejsza oznaka oporu lub obawy, sprowadziłaby smutne następstwa. Rozkazali mi rozpiąć namiot, i otoczyli oddziałem zbrojnych naokoło żeby przeszkodzić ucieczce. Tymczasem zaś wysłali do sułtana Urimy z oznajmieniem że schwytali białego człowieka i z zapytaniem co mają z nim uczynić? Przed samym zachodem słońca przybył goniec sułtana, żądając upominku. Upewniłem go że nie mam ze sobą nic odpowiedniego, na co odparł że musi przekonać się sam czy mówię prawdę. Musiałem mu więc pokazać wszystko co posiadałem. Na widok kołdry, nieodstępnej towarzyszki od lat piętnastu, zastanowił się i zawołał:

— Wyborna rzecz! Musi mieć tę kołdrę, Bwana Mkubwa wielki król.

Ja zaś zawołałem z rozpaczą:

— Białemu człowiekowi zimno! potrzeba mu ciepłego okrycia. Jeżeli mu zabierzesz jego kołdrę, umrze. Kiedy słońce idzie na spoczynek, biały człowiek marznie, zostaw mu więc jego kołdrę!

Gwałtowność mojej wymowy poskutkowała, i nazajutrz pozwolił mi odjechać, dodawszy tylko posła przeznaczonego do odebrania obiecanego upominku.

Czas był nieodpowiedni do podróży, bo zaczynająca się pora deszczowa uczyniła kraj prawie nie do przebycia. Nic innego nam nie pozostawało do uczynienia. Wyciąg z mojego dziennika da niejakie wyobrażenie o tem.

Dwunastego Lutego. Wyruszyliśmy o świcie, i brnęli przez zarośla dopókiśmy nie wyszli na pole: wtedy dostaliśmy się w trawy wyżej głowy, perlące się rosą. Pod stopami mieliśmy wodę, miejscami do kostek; tam zaś gdzie nie było wody, było gęste czarne błoto. Nigdy jeszcze nie miałem takiej drogi, i moi ludzie, którzy całe życie przepędzili w podróżach, to samo twierdzili.

Kiedyśmy się dostali do pierwszej wioski, wszyscy mieszkańcy uciekli, i unieśli z sobą swoje bożyszcza, bo wojna wrzała naokoło. Jedna tylko niewidoma staruszka została, i ta wybierała się w drogę do najbliższego miasta.

(Dokończenie nastąpi.)

TEATR.

Lis w kurniku, komedya w 5-ciu aktach, oryginalnie napisana przez Kazimierza Zalewskiego.

Pan Kazimierz Zalewski przyzwyczaił publiczność polską do tego, że ilekroć nazwisko jego pod tytułem nowej sztuki na afiszu wyczyta, spieszy do teatru w tem przekonaniu, że ujrzy utwór, z którym i krytyka i społeczeństwo nasze liczyć się musi na seryo. Rzecz uznana powszechnie, że pod względem architektury każdej sztuki, mało który z komedyopisarzy mu dorówna, a jak bystrym jest spostrzegaczem i czujnym badaczem pulsu społeczeństwa naszego, dowodem jest ostatnia, przed „Lisem w kurniku" przedstawiona jego komedya, o której finał ostateczny, w duchu nierozstrzygniętej niby przez autora katastrofy, postarała się rzeczywistość.

Nic więc dziwnego, że „Lis w kurniku" zapełnił teatrzyk „Eldorado" wyborową, niebywałą w nim publicznością, ciekawie oczekującą podniesienia zasłony, lubo pierwsze dwa akty sztuki znane już były z druku w „Tygodniku Illustrowanym". Nareszcie dzwonek dyrektorski się odezwał i ujrzeliśmy się w mieście prowincyonalnem, u jednego z tamtejszych rejentów, p. Olszyckiego, opisującego właśnie swemu przyjacielowi Krońskiemu, który do niego, po kilku latach niewidzenia, przyjechał z Warszawy, drobnostkowe zawiści, swary i komeraże, wypełniające życie tej stolicy, co najmniej powiatu, jeśli nie guberni. My, którzy nie jesteśmy krępowani względami, kierującemi autorem, powiedzmy od razu, że pan Kroński jest właśnie owym „Lisem w kurniku", który przeszastawszy majątek, przypomina sobie, iż ma na prowincyi kolegę szkolnego, rejenta, z którego żoną miał przed sześcioma laty romans, na jej szczęście platoniczne zakończony i postanawia korzystać z tej znajomości, pojechać do owego prowincyonalnego kurnika i tam sobie wybrać kurkę, naturalnie na złotych jajkach siedzącą. W wykonaniu tych zamiarów dwie rzeczy stają mu na drodze; najprzód to, że pani Olszycka nie przestała go kochać, a powtóre, że miejscowi myśliwcy na posagi zwietrzyli odrazu w nim groźnego współzawodnika i skoalizowawszy się przeciw niemu z aptekarzem, wymyślili plotkę, nie przeczuwając nawet jak dalece ona jest prawdą, i listami bezimiennemi ostrzegli zarówno mamy posiadające córki, jak p. Olszyckiego, że p. Kroński ma romans z panią Olszycką. Anonimy zrobiły skutek. Olszycki nigdy żony nie kochał bardzo; ożenił się, będąc jeszcze na dorobku, bo mu się spodobała na razie; ona poszła za niego także bez miłości, żeby się wyzwolić z pod uciążliwej opieki i ujść grożącej biedy.

Niebawem zjawił się Kroński, jako pocieszyciel niezajętego serca młodej mężatki, i tylko dzięki egzaltowanemu usposobieniu Henryki, stosunek ten nie przekroczył, jak już powiedzieliśmy, granic miłości platonicznej, która jednak w sercu jej dotąd trwała, potęgowana niemal długiem niewidzeniem, podczas gdy on wystygł zupełnie, od chwili, gdy się przekonał o naturze jej uczucia, a dziś ani myślał nawiązywać dawnego stosunku. Po odebraniu anonimu, mąż dotąd ślepy i obojętny, przypomina sobie niektóre okoliczności; na które dawniej nie zwracał uwagi; ztąd naturalnie scena domowa, w skutek której pani Olszycka truje się przepisaną jej w lekarstwie dygitaliną, i nie umiera jedynie dzięki aptekarzowi, który jak zwykle, zamiast dygitaliny, drogiej i niebezpiecznej, dał do mikstury jakiś surogat niewinny i tani. Wtedy zjawia się młody lekarz miejscowy, pan Młodnicki, który upoważniony przez męża, postanawia wyświecić całą tę sprawę i dobadać się prawdy. Odkrywa autorów anonimów, dochodzi wszystkiego, godzi małżeństwo, oczyszcza reputacyę pani Olszyckiej, zmusza Krońskiego do opuszczenia miasta, pod pozorem, że ma narzeczoną, która na niego czeka, i rzecz cała kończy się moralnie, ukaraniem zarówno lisa warszawskiego, jak intrygantów małomiejskich, którym mimo usunięcia się Krońskiego, mamy wypowiadają swoje domy, jako nikczemnym oszczercom. O nagrodzie nie ma mowy, bo nikt prawie na nagrodę nie zasłużył, wyjąwszy doktora Młodnickiego, który też znajduje ją w sutych oklaskach, jakie rola jego, jeśli dobrze jest graną, koniecznie wywołać musi, chociaż typ nie jest nowy i tylko z cnotliwego inżyniera francuzkiego na polskiego doktora przełożony.

Przedstawienie śmieszności życia małomiejskiego, a na tem tle historyi małżeństwa luźnego, złożonego z dwojga ludzi w gruncie niezłych, lecz złączo-

nych z sobą nie głębszem uczuciem, ale chwilowem upodobaniem i potrzebą pozycyi, małżeństwa jakich wiele, jakich może niestety najwięcej, małżeństwa jednem słowem, w sferach uboższych odpowiadającego małżeństwom konwenansowym w sferach zamożnych, było zadaniem autora w „Lisie", które też przeprowadził do końca, ze zwykłą sobie konsekwencyą i loiką; tylko tym razem w robocie widoczny jest pośpiech, są tak zwane technicznie „długości", których pan Zalewski nie popełnia w innych sztukach nigdy, a które z łatwością zresztą usunąć się dadzą. Z pośpiechu także prawdopodobnie cierpi architektura sztuki; akta są stosunkowo to za krótkie, to za długie; a najsłabiej zbudowane są akta 1-szy i 5-ty, początek i koniec, i w tem to zapewne, w braku silnego, pomyślnego wrażenia na początku i na końcu przypisać należy, że sztuka nie była tak gorąco przyjętą i oklaskiwaną, jak inne komedye tego autora.

Wiele też efektu ginęło z powodu biednego *mise en scene* i gry ogródkowej, w której giną zwykle subtelniejsze piękności dykcyi i finezya pewnych epizodów, w które sztuki pana Zalewskiego obfitują. Jeden pan Antoniewski, grał Młodnickiego jako znamienity artysta, z prawdziwem pojęciem roli, z odgadnięciem jej wymagań, z werwą i wytworną dystynkcyą; obok niego jako tako reprezentowali p. Szymborski doktora Ogrzałłę, jedną z najudatniejszych komicznych postaci i pan Królikowski aptekarza Fistułkiewicza; o reszcie życzliwość dla trupy eldoradowej zamilczeć radzi.

Że pogląd powyższy jest usprawiedliwiony, dowodzą wiadomości nadeszłe ze Szczawnicy, gdzie „Lis w kurniku", przedstawiony przez trupę lwowską, entuzyastycznego niemal doznał przyjęcia. Można być pewnym, że i u nas, po dokonaniu pewnych poprawek, które sam autor zapewne już uznał za konieczne, przedstawiona na scenie nieogródkowej, sztuka znajdzie powodzenie, na jakie w gruncie rzeczy zasługuje.

I jeszcze jedno. Ponieważ piszemy to sprawozdanie później od innych, wiemy iż oprócz innych, mniej ważnych, albo podyktowanych koteryjną złością, czyniono panu Zalewskiemu zarzut, iż „Lis w kurniku", zakroiwszy zrazu niemal na farsę, przechodzi potem w nastrój komedyi poważnej, niemal w dramat. Otóż zarzut tego nie uważamy za słuszny. Na scenie dziać się powinno jak w życiu, a ileż to fars w rzeczywistości kończy się istnym dramatem, kiedy czasami tragedya nawet przechodzi przy końcu w farsę!...

E. Jerżyna.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Owoce klęsk.** Pożary niszczące w jednej chwili długoletnią pracę jednostek, mają jak każde złą i dobrą swoją stronę. Przedewszystkiem, uczą solidarności, każą myśleć o zabezpieczeniu się od ognia wspólnemi siłami i t. p. Ileż-to w ostatnich czasach przybyło u nas straży ochotniczych. Połowa miast i miasteczek już je posiada, reszta pójdzie pewno tą drogą, bo innej nie ma.

W roku bieżącym miasteczko Olkusz, podpalane także wielokrotnie, zawiązało u siebie straż ochotniczą, która, jak donoszą, liczy już 105 członków i czerpie dochody ze składek członków honorowych, oraz koncertów i widowisk amatorskich. Na Nowej Pradze także coraz goręcej agituje się projekt założenia straży ogniowej na tychże samych warunkach. W zeszłą sobotę miejscowi obywatele zebrali się w komplecie na naradę, której rezultaty okażą się w niedalekiej przyszłości.

Straż tamtejsza niosłaby ratunek dla Nowej Pragi, Szmulowizny i Pelcowizny.

*** **Jeszcze o pogorzelcach.** Jednodniówka znajduje pokup niezmierny, druga zaś humorystyczna jest już na ukończeniu, a prócz tego w Piotrkowie powstał zamiar podjęcia wydawnictwa zbiorowego także treści humorystycznej. Czy dobre chęci w czyn się zamienią trudno przesądzać, my notujemy tylko projekt jaki powstał w kółku inteligencyi miasta Piotrkowa.

Grodno odbudowywa się spiesznie, czego dowodem liczne zamówienia jakie poczyniono w różnych miejscowościach. Jeden z obywateli z Kaliskiego podjął się znacznej dostawy cegły, dwie tutejsze fabryki zduńskie zobowiązały się dostarczyć znaczną ilość kafli do pieców. Znaczna liczba czeladników tego kunsztu wyjechała do spalonego miasta i niewątpliwie zamiast tutaj wyczekiwać na robotę, wszyscy znajdą jej tam obfitość. Oby jak najwięcej fachowych ludzi poszło za ich przykładem, a pogorzelcy zrujnowani klęską, nie potrzebowaliby do niej dopłacać tak wiele, jak w podobnem położeniu powtarzać się zwykło. Miejscowi robotnicy, zwłaszcza gdy jesień zacznie coraz wyraźniej zwiastować swe przybycie, drzeć będą co się da, bezsumienia i litości, wiedząc, że są potrzebni bo nikt ich nie zastąpi. O porządnej robocie w takich razach nie może być mowy, idzie tylko o pośpiech i wyzysk, reszta zbyteczna. Warszawscy cieśle, mularze, blacharze i t. p., powinniby zrobić konkurencyę niesumiennym swoim kolegom z okolic Grodna, a z pewnością na złe im to nie wyjdzie.

*** **Ukrócenie wyzysku.** Któż nie oburzał się nieraz na owe tak zwane sklepy wyprzedaży, służące za przynętę dla łatwowiernych, lub chciwych taniego kupna. Pod pokrywką taniości sprzedawano tam towary zleżałe, podniszczone, w złym gatunku, słowem nie posiadające ani dziesiątej części tej wartości za jaką je zbywano. Sklepów tych ostatniemy czasy mnożyło się u nas coraz więcej, zwłaszcza na pryncypalnych ulicach i nie każdy pochwalić się może, iż go nigdy w życiu nie złapano na jakikolwiek, choćby drobny, sprawunek.

Obecnie władza zajmuje się sprawdzeniem owych wyprzedaży, a gdy która okaże się fikcyjną, winni tego oszustwa, pociągnięci zostaną do odpowiedzialności na drodze sądowej.

Szczerze nas cieszy to postanowienie, które przetnie odrazu tym podobne nadużycia.

*** **Nagrodzeni.** Włościanie nasi, zwłaszcza z bardziej oddalonych okolic, bardzo mało wiedzieli o tegorocznej wystawie, bo chociaż donoszono w „Gazecie Świątecznej", powtarzano i w „Zorzy", chłop w połowie tylko pisanemu słowu daje wiarę. Nie wątpimy, że gdyby było inaczej, spotkalibyśmy się daleko częściej na wystawach z wyrobami przemysłu wiejskiego, okazami koni, bydła i t. p.

Co prawda, panowie obywatele mogliby tutaj zrobić niejedno, czego mamy dowód na panu Kowerskim, który przysłał opisy dwóch gospodarstw włościańskich do konkursu gospodarstw wzorowych. Właścicielom tych osad sędziowie przyznali listy pochwalne i nagrody, jednemu sieczkarnię, drugiemu młocarnię.

Można sobie wyobrazić radość i szczęście tych ludzi, gdy maszyny z Warszawy nadeszły. Okoliczni włościanie przychodzą te śliczności oglądać, dopytują o cenę, a nawet zamożniejsi mają zamiar wybrać się do Lublina po kupno maszyn. Żaden z nich o czemś podobnem do tej pory nie myślał, ale teraz przyjrzawszy się z bliska, widząc użyteczność „tych statków", konserwatywny wieśniak maszynami posługiwać się zacznie. Będzie to na całą okolicę jeden więcej dowód dodatnich następstw wpływu i opieki „dworu" nad ciemną massą prostaczków. Nie wątpimy również, że na przyszłą wystawę tamtejsi włościanie ociągać się nie będą i kto wie czy już teraz o niej nie radzą; w każdym razie stanie się ona bodźcem do pracy i — postępu.

*** **Dla biednych dzieci.** Przed niedawnym czasem powstał projekt budowy letniego szpitala w Ciechocinku dla dzieci, znajdujących się pod opieką warszawskiego Towarzystwa dobroczynności. Pomysł to nadzwyczaj szczęśliwy, gdyż Ciechocinek posiada kąpiele skutecznie oddziaływające na skrofuły, a któreż z dzieci od nich jest wolne. Letni szpital, urządzony w tej miejscowości, może zdziałać bardzo wiele dobrego dla zdrowia małych pacyentów, bo usunięcie skrofuł to najważniejsza kwestya dla ich organizmu.

W tych dniach, na zebraniu członków komitetu budowy szpitala, deklarowano na rzecz zakładu peryodyczne ofiary pieniężne, obok jednorazowych w naturze.

Nie wątpimy, że dobry przykład pociągnie za sobą serca tych, co mając dosyć dla swoich najbliższych i o społeczeństwie nie zapominają.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Polskie zakłady dobroczynne w Paryżu.** Zakład św. Kazimierza miał w roku zeszłym dochodu 53,635 fr. Dla pokrycia deficytu i zasilenia funduszów instytucyi urządzaną bywa loterya. Procenta od kapitałów zakładu przynoszą niewiele, główne źródło dochodów stanowią dary dobroczynnych osób, rząd płaci zakładowi rocznie 19,240 fr.

W zakładzie r. z. znajdowało przytułek 32 starców oraz pobierało wychowanie 56 dziewcząt i 18 chłopców. Dziewczęta po ukończeniu nauki pozostają w kraju, a zarząd ułatwia im znalezienie zarobku. Zakład mieści się przy ulicy Chevaleret 119.

Istnieje też w Paryżu od 22 lat instytucya „Czci i chleba", mająca na celu wypłacanie emerytury, lub wsparć jednorazowych, ludziom nie mogącym pracować. Instytucya ta czerpie głównie swe dochody z dobrowolnego opodatkowania członków popierających szlachetne jej zamiary. Marszałek krajowy galicyjski, przysłał 6,091 fr. na pensye i wsparcia. Sekretarzem instytucyi jest p. Rustejko.

*** **Sułtan turecki** stał się mecenasem sztuk magicznych, na przekór policyi, która myślała zupełnie inaczej, wstrzymując przedstawienia pewnego francuzkiego sztukmistrza, z uwagi, iż był on osobistością podejrzaną.

Francuz zwrócił się z prośbą o opiekę do poselstwa Rzeczypospolitej, która zawiadomiła o tem sułtana.

Władzca kazał przedewszystkiem sprowadzić do siebie owego sztukmistrza, aby dał przedstawienie w obecności dworu. Sztuki czarnoksięzkie tak zachwyciły sułtana, iż obdarzył francuza orderem i kwotą 150 fun. szterlingów, a przytem mianował go swoim nadwornym czarnoksiężnikiem.

Nadworny czarnoksiężnik będzie teraz imponował na sążnistych afiszach tytułem, który mu się najsłuszniej należy. Kto wie, czy nie myśli czasem w podróżach swoich zawadzić o Warszawę i wywieźć z niej trochę rubelków!...

*** **Oryginalny order.** Amerykański dyplomata, który przedstawia przy Watykanie cztery południowe stany, tak sobie zjednał łaskę Papieża, że go już wszystkiemi swemi orderami obdarzył.

Niedawno, w skutek ważnej przysługi, którą tenże dyplomata oddał Kuryi, wypadła konieczność ofiarowania mu nowego orderu.

Nasz amerykanin posiadał je już wszystkie, ministrowie papiescy nie wiedzieli jak sobie poradzić. Nakoniec, sam Ojciec św. kazał wręczyć dygnitarzowi tabakierkę ze swoim wizerunkiem. Spełniono rozkaz i amerykanin otrzymał złotą tabakierkę, w której przytwierdzony był kosztowny medalion z wizerunkiem Papieża.

Zanim poseł złożył podziękowanie Ojcu św. kazał wydobyć medalion z tabakierki i zawiesił go na szyi na złotym łańcuchu, poczem udał się do Watykanu.

Gdy się oddalił, po skończonej audyencyi, Leon XIII rzekł z uśmiechem do jednego z kardynałów:

— Przy następnej sposobności poślemy mu stół marmurowy, ciekawym czy i ten prezent na szyi zawiesi?

*** **Pogrzeb Granta** odbył się z przepychem niesłychanym. Orszak pogrzebowy ciągnął się na przestrzeni 6-ciu mil angielskich, a wszyscy biorący w nim udział, z powodu szalonego upału byli wystawieni na ciężką próbę.

Na całej drodze, którą orszak przechodził, urządzono ambulanse i prowizoryczne szpitale. W orszaku maszerowało 25,000 wojska różnych stanów, 20,000 weteranów, którzy brali udział w wojnie pod dowództwem zmarłego—i 15,000 przedstawicieli różnych stowarzyszeń.

Karawan ciągnęły 24 konie, nakryte czarnym kirem. Oprócz obecnego prezydenta znajdowali się dawniejsi: Arthur i Hayes.

Duchowni wszelkich wyznań asystowali pochowaniu zwłok, które odbyło się według rytuału metodystycznego. W dzień pogrzebu New-York czynił wrażenie olbrzymiego domu pogrzebowego. Wszystkie sklepy pozamykano a ulice, przez które kondukt przechodził, udrapowano czarnym kirem.

W przeciągu jednego dnia przedefilowało przed katafalkiem 150,000 osób. Podobne owacye czyniono zmarłemu na całej przestrzeni od Waszyngtonu do Nowego-Yorku.

Podczas uroczystości pogrzebowej w porcie stanęło dwanaście okrętów, które wydawały po 21 salw żałobnych. Pięćset ekwipaży jechało za trumną. Wdowa Granta nie uczestniczyła w pogrzebie.

*** **W Madrycie** powstał przed kilku dniami formalny bunt w więzieniu kobiet. Powodem niezadowolenia był rozkaz dyrektora, który z uwagi na panującą cholerę, polecił nie dawać aresztantkom wina ani wódki.

Przywódczynią buntu była awanturnica karana już 17 razy. Dla uspokojenia rozszalałych kobiet, wezwano oddział wojska, przyczem jedna z buntowniczek została od uderzeń kolbami silnie pokaleczona.

*** **Święcenie niedzieli** jest jak wiadomo nadzwyczaj pilnie przestrzeganem w Anglii, gdyż nie tylko praca lecz i zabawy są w tym dniu wzbronione.

W Leicester, ku wielkiemu przerażeniu wszystkich mieszkańców, członkowie klubu krokietowego, chcąc wprowadzić gry na dzień świąteczny, spędzany zwykle na czytaniu biblii, rozpoczęli partyę w ogrodzie.

Policya najspokojniej przyglądała się grze, lecz tłum dostrzegłszy co się święci, wtargnął do ogrodu, wyrwał grającym kije z ręki, wrzucił bile do wody, a inowatorzy zaledwie z życiem ujść zdołali.

Ciekawa rzecz co na to powiedziałby pan Bismark, który nie może się zdecydować na wydanie ustawy, zabraniającej pracować w niedzielę i święta. Ale bo serce wielkiego kanclerza jest bardzo czułem; osobistej swobody nikomu krępować on nie lubi, a chociaż 30,000 ludzi pozbawił obecnie zarobku i kawałka chleba, to jeszcze nie dowodzi, że jest średniowiecznym despotą, gdyż poszkodowanymi są obcy poddani.

*** **Tak czy nie.** Kwestya święcenia w niedzielę weszła obecnie w Niemczech na porządek dzienny. Nie wiadomo jednak dotychczas, w jaki sposób praktyczni niemcy z nią sobie poradzą. W każdym razie przecież, zysk i zarobek więcej dla nich znaczy aniżeli obowiązki religijne. Na katolickim wiecu robotników w Bochum, zażądano stanowczo wydania prawa o ogólnem święceniu niedzieli, na co jednak książę Bismark dał bardzo dyplomatyczną odpowiedź, iż pragnie, aby wypoczynek niedzielny stał się możliwym dla każdego robotnika, który przekłada takowy nad zarobek. Chcąc jednak zabronić niedzielnej pracy, trzeba przedewszystkiem zbadać dokładniej zapatrywania interesowanych.

*** **Kawiarnia Prokopa**, najstarsza z istniejących w Paryżu, sławna w dziejach gastronomii tem, że pierwsza zaczęła wyrabiać lody, niedawno zamkniętą została.

Istniejąc przez dwa stulecia z górą, przechodziła razem z Francyą najróżniejsze koleje, zawsze jednak była punktem zbornym największych umysłów w całym kraju.

Ściany jej były świadkami dysput Moliera z Bacinem i Boileau; słynni rewolucyoniści, zapisani krwawemi głoskami w dziejach narodu, wygłaszali tam swe poglądy, burząc dawny porządek rzeczy i tworząc nowe światy.

Holbach, d'Alembert, Voltaire, Diderot wszyscy byli w Café Procope, a Jan Jakób Rousseau, podczas pobytu w stolicy Francyi chętnie tam przesiadywał.

Ostatnią epoką świetności kawiarni, zaznaczyły się owe czasy, gdy „Nowa Galia" stowarzyszenie młodych patryotów przygotowywało, pod przewodnictwem Gambetty, upadek Napoleona III.

Burzliwy swój żywot, opuszczona przez dzisiejsze pokolenie staruszka, zakończyła w zapomnieniu. Gdyby ściany jej umiały mówić, jakże ciekawych rzeczy dowiedziećby się od nich było można!...

NOWE WYDAWNICTWA.

Encyklopedyi wychowawczej wyszedł zeszyt 8 tomu III-go i zawiera: Estetyka i wykształcenie elementarne, przez H. Struwego; Estkowski, przez Zygmunta Samolewicza; Etnografia i Etnologia, przez J. Kopernickiego.

Encyklopedya wychowawcza wychodzi w zeszytach pięcio-arkuszowych. Prenumeratorowie za każdy zeszyt opłacają kopiejek 40 a z przesyłką kopiejek 50. Tom pierwszy i drugi Encyklopedyi wychowawczej, obejmujące przeszło 80-siąt arkuszy, kosztują rs. 10, z przesyłką rs. 10 kopiejek 60.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Августа 1885 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

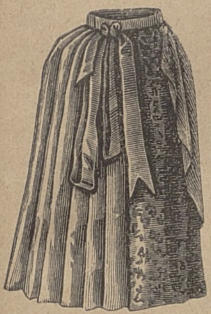
Dodatek.

Opis do N-ru 34.

(Dokończenie.)

N. 16. Ubranie małego chłopczyka.

Krój znajdą czytelniczki w przeszło-

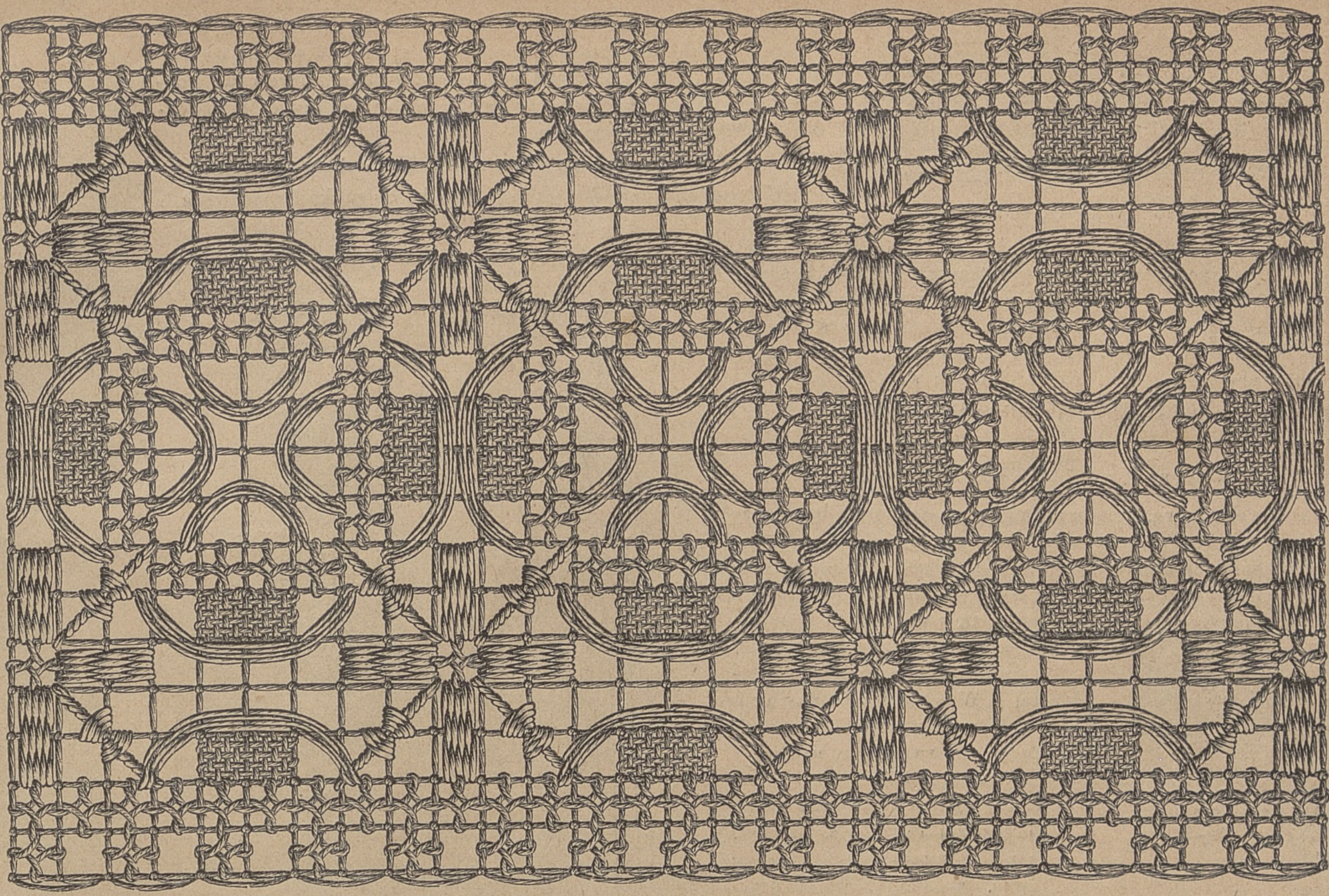


N. 2. Spódnica do ryc. 7, przedstawiona z tyłu.

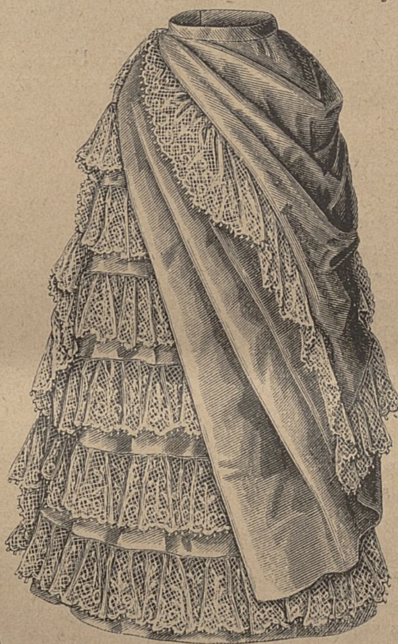
rocznych N-rach Tyg. Mód; stanik liczy z przodu 35, z tyłu 36 cent. długości i dopełniony jest falbaną 16 cent. długą, stanowiącą spódnicę. Każda z czterech kontrafałd danych z przodu i wzdłuż pleców liczy $2 \frac{1}{2}$ cent. szerokości, odstępy zaś naszyte są drukowanemi szlakami. Przyszycie falbany do stanika z boków przykrywa pasek 5 cent. szeroki.

N. 17. Fartuszek formą sukienki dla małej dziewczynki.

Odznacza się bardzo praktyczną formą, gdyż zasłania wokoło całą sukienkę i przy zabawie chroni ją od po-



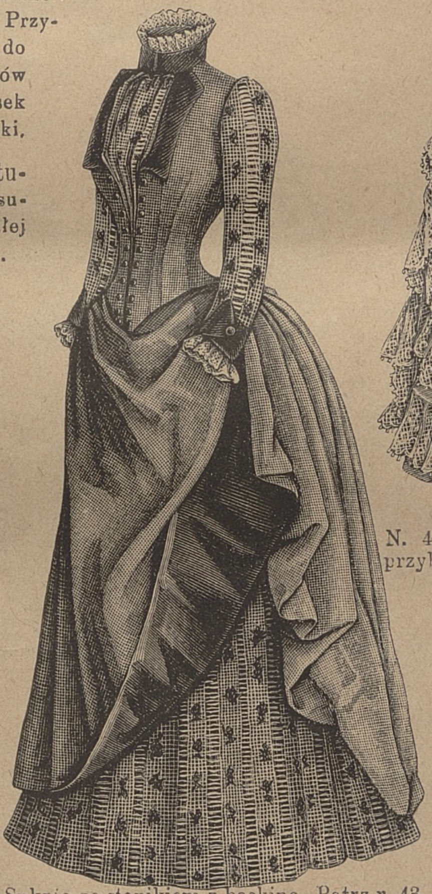
N. 1. Wszywka siatkowa.



N. 4. Suknia z draperyą strojnie przybrana koronką. Patrz r. 3 i 31.



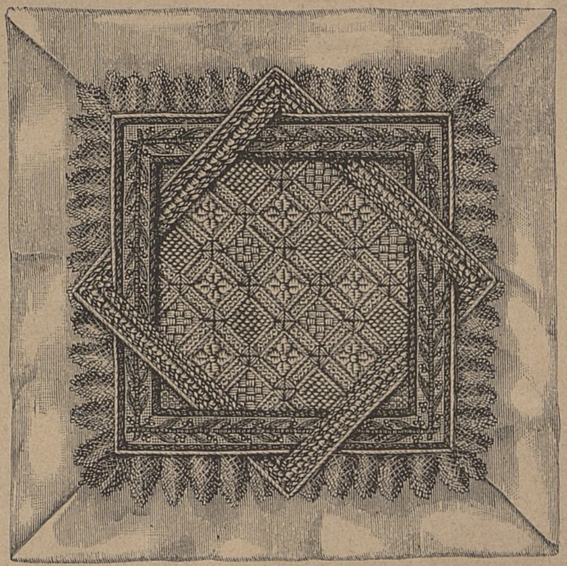
N. 5. Fartuszek zdobny wyszyciem i robotą szydełkową.



N. 6. Suknia ze stanikiem z baskiną. Patrz r. 43.



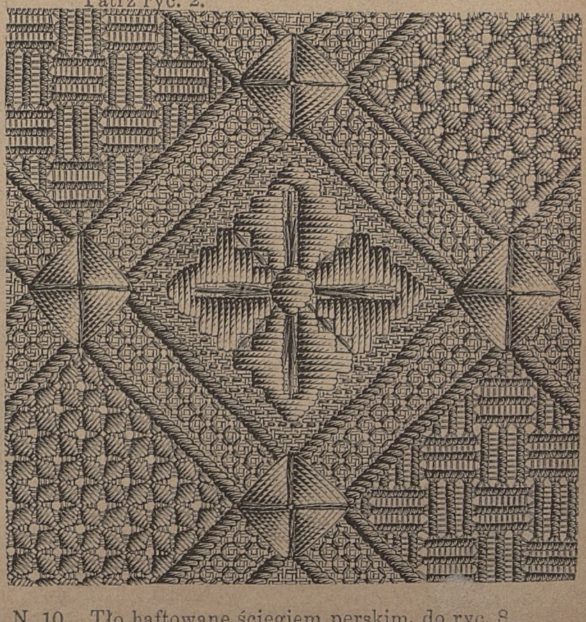
N. 7. Suknia z paskiem bawetowym. Patrz ryc. 2.



N. 8. Haft na poduszkę do kanapy; ścieg perski ażurowy. Patrz ryc. 9—10 i ryc. 3—5 w N. 33.



N. 9. Narożnik do ryc. 8.



N. 10. Tło haftowane ściegiem perskim, do ryc. 8.

plamienia. Model który opisujemy, uszyty jest z zefiru mienionego ponsowo z niebieskim i przybrany ponsową pletnią. Przody stanika odwinięte w ranwersy, dopełnione są plastronem przemarszczonym w pasie i pod szyją, plecy zaś trochę namarszczone, przyszyte są do gładkiego karczka, 12 cent. wysokiego. Falbana tworząca spódniczkę liczy 150 cent. obwodu a 20 długości; przyszycie jej do stanika zasłaniają końce, związane z tyłu w kokardę. Kołnierz wykładany 5 cent. szeroki.

N. 18. Sukienka bluzkowa.

Krój dopasować można podług formy do ryc. 21 w N. 31; długi stanik z tyłu zapinany dopasowywa się podług fig. 31—33 z batystu kolorowego lub satynki, stanowiącej podwleczenie pod koronkowy materyał. Spódniczka

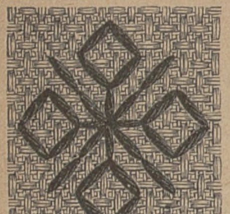


N. 3. Spódnica do ryc. 4, przestawiona z tyłu.

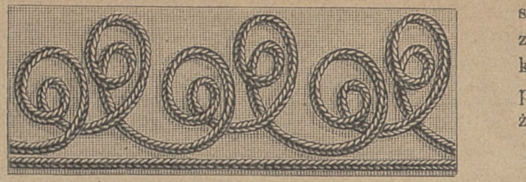
ułożona w płaskie kontrafałdy liczy 30 cent. długości a 160 obwodu. Stanik pokryty jest bluzką z koronkowego materyału, przemarszczonego pod szyją w nagłówek, a u dołu spuszczonego w bufkę 4 cent. długą. Falbana koronkowa przykrywająca spódniczkę liczy 130 cent. obwodu; na przyszyciu dana wstążka atłasowa, związana z tyłu w kokardę. Rękawy, 32 cent. obwodu mające, związane u ręki.

N. 19—20. Ubranie dla młodej panienki.

Ryc. 19 i 20 przedstawia przód i plecy sukienki uszytej z cienkiego wełnianego materyału, przerabianego w kolorowe szlaki, albo z kolorowego zefiru, zaszytą w drobne zakładki. Krótka przednia draperya wszyta jest w pasek wraz z podwójną spódnicą, tylne zaś upięcie przypina się na staniku i



N. 11. Rzucik do wyszycia na kanwie Jawa.



N. 13. Wyszycie sutaszem.

składa się z dwóch dużych i dwóch mniejszych trójkątów, ściśle zmarszczonych ze skośnej strony i przypiętych pod węzłem do baskiny stanika. Krótki stanik ma przody wycięte gorsecikowo i dopełnione plisowanym plastronem; podłużny wykrój szyi otoczony dużym wykładanym kołnierzem.

N. 21. Suknia z chusteczką Marie Antoinette.

Ubranie złożone z krótkiego stanika do paska i spódnicy à la paysane, ozdobione jest chusteczką z długiemi końcami, którą szyje się ze skośnie wziętego tiulu czarnego lub białego i garniruje koronką. Modną nowość stanowi tiul i koronka malowane w kolorowe kwiaty. Forma Marie Antoinette znana jest oddawna; chusteczka którą przedstawia ryc. 21 w końcach ścięta skośnie, liczy 280 cent. długości a 45 cent. środkowej szerokości. Kokardy z wstążki i bukiecik kwiatów spinają końce.

N. 22. Ubranie z paletocikiem.

Plecy i boczki wcięte są do figury, przody zaś nie mają zaszewek, tylko przy szwie bocznym wpadają do stanu; brzegi przednie zapinają się niewidocznie na haftki i pokryte są marszczonym żabotem koronkowym, przyszytym pod ranwersami z materyi. Ryc. 22 przedstawia paletocik z wełnianego materyału koloru bronzowego, takiejże koronki i materyi żółtawo różowej. W pasie przewiązany gruby jedwabny sznur bronzowy z kwastami; zwracamy uwagę na przybranie kołnierza i rękawów: składa się ono z oszycia z wstążki różowej ottoman 2—3 cent. szerokiej, u rękawów złożonej we dwoje, wokoło kołnierza przyszytej w całej szerokości i spiętej kokardką. Kapelusz z bronzowego tiulu podłożoinego złotem, zdobny różowemi póram i.



N. 15. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki. N. 16. Ubranie małego chłopczyka.



N. 21. Suknia z chusteczką „Marie Antoinette."

N. 23. Suknia z draperyą z brytów prostych.

Spódnica z gładkiej żółtawej satynki, o ile widoczna z pod draperyi, garnirowana jest falbanami koronkowemi. Draperye albo raczej tunika z materyału w wielkie kwiaty, składa się z czterech prostych brytów, spadających nakształt wielkich patek, z których dwie tylne liczą po 125 cent., przednie skośnie ścięte u dołu 100 cent. długości, a po 60 szerokości i podszyte są od spodu gładką satynką. Każdy z czterech brytów spada oddzielnie na spódnicę, górnym zaś lekko namarszczonym brzegiem wszywa się w pasek a tylne bryty są podpięte podług ryc. 23. Krótki stanik z przodu i z tyłu ścięty bawetowo, ma wzdłuż przodów szerokie ranwersy, otaczające plastron przemarszczany z gazy. Rękawy półdługie.

N. 24. Suknia z długim trenem. Patrz r. 18 w N. 33.

Ryc. 24 i ryc. 18 w N. 33 przedstawiają przód i plecy sukni, w której Krystyna Nilsson występowała w Trocadero w Paryżu. Ta wspaniała toaleta, odrobiona z ciemno fijołkowej materyi faille, bogato haftowanej stalą, srebrem, i sznelą fijołkową. Sznelowy sznur kręcony z nitką metalową, naszyty jest wzdłuż zagięcia każdej fałdy plisowanej na spódnicy. Krótki bawetowy stanik z przodu i z tyłu wycięty w głęboki ząb, zdobi z przodu prócz haftu rodzaj berty marszczonej z tiulu z połyskiem stalowym.

N. 25. Suknia à la paysane z koronkowego materyału.

Spódnica koronkowa, fałdowana à la paysane, ułożona na jedwabnem podwleczeniu, ma z jednego boku dodany klin aksamitny, przewiązany kokardami z morowej wstążki. Odpowiednio temu krótki, dekoltowany stanik uszyty z aksamitu, z obcisłemi koronkowemi rękawami. Oryginalny głęboki wykrój stanika dopełniony fałdowaniem tiulu koronkowego spiętem kokardami podług ryc. 25. Zapięcie dane środkiem przodu na kryte haftki.



N. 27. Teka do pisania, ozdobiona szlakiem i monogramem.

N. 28. Teka do papieru listowego. Haft sznelą.



N. 19—20. Suknia z artuszkową tuniką.



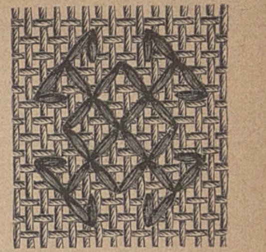
N. 23. Suknia z draperyą z prostych brytów. N. 24. Suknia z długim trenem. Patrz ryc. 18 w N 33. N. 25. Suknia koronkowa ze spódnicą à la paysane. N. 26. Ubranie małej dziewczynki.

N. 26. Ubranie dla małej dziewczynki.

Żółtawy kreton w rzucik, takaż gładka satynka i hafcik lub koronka 6 cent. szeroka, stanowią materjał na ładną sukienkę ryc. 26. Wązkie szeroko rozchodzące się przody, oszyte gładką plisą 6 cent. szeroką, ozdobione wykładanym kołnierzem, złączone są marszczonym plastronem wszytym u góry w bawetowy karczek. Zapięcie dane z boku na kryte haftki. Na przyszyciu marszczonej spódniczki dany bawetowy pasek z wstążki, zapięty z tyłu szeroką kokardą.



N. 14. Szlaczek haftowany.



N. 12. Rzucik do wyszycia na kanwie kongresowej.



N. 17. Fartuszek formą sukienki. N. 18. Sukieneczka z bluzką.

N. 29. Przykrycie od kurzu, do powozu.

Ryciny 29 i 30 przedstawiają przykrycia do powozu, uszyte z lekkiego letniego materyału i zasłaniające od kurzu w czasie przejażdżki. Model 150 cent. długi, a 140 cent. szeroki z materyału wełnianego w kratę kolorową, miał wokoło brzegów 4 cent. szerokie oszycie z materyi viel-or w deseń.

N. 34. Stanik z plastronem naśladującym pasek.

Stanik od sukni z zephiru mienionego fiołkowego ze złotem, przybrany wąziutką pletnią fijołkową i złotemi guziczkami. Plecy i boczki przedłużone w suto fałdowane karoczko złączone są z podwójnemi przodami, zwierzchnie szeroko otwarte kaftanikowe przody krajane są bez podszewki, pod spód zaś idą przody z gładko do figury dopasowanej podszewki, sięgające tylko do stanu, z boku zapięte na haftki, w górnej połowie przykryte marszczoną bufą, niżej zaś przyciśnięte obcisłym wysokim paskiem naszytym pletnią.

N. 39. Wszywka z haftem i kratką ażurową.

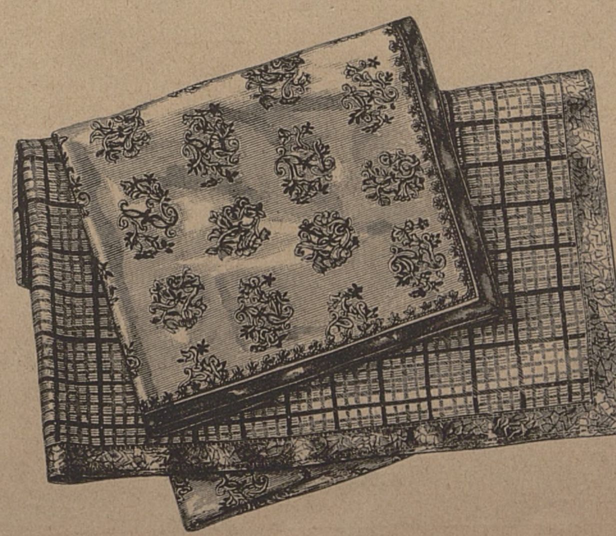
Odpowiednia do przyozdobienia firanek, serwet, poszewek lub t. p., odrobiona trzema cieniami zielonawo niebieskiej filozeli na tle płóciennem. Trójkąty haftowane ściegiem płaskim zajmują po 8 nitek wzdłuż i wszerz i łączone są gwiazdkami z czterech długich ściegów. Każdy z ażurowych kwadratów zapełniony koronkowym pajączkiem liczy 16 nitek w kwadrat. Dalsze wykończenie haftu objaśnia ryc. 39.

N. 40-41. Suknia z fałdowanym paskiem. Patrz r. 33.

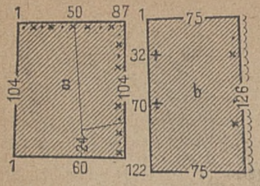
Muślin, batyst lub kreton może być użyty na letnie ubranie dla młodej osoby; jeżeli chcemy mieć toaletę strojną, w takim razie trzeba na gładkiej podszewce z kolorowej satynki dać zwierzchnią suknię z lekkiej tkaniny jasnej lub białej w kolorowy deseń. Na modelu spodnia spódnica miała u dołu plisowanie 30 cent. szerokie, na nią spadała zwierzchnia spódnica z prostych brytów marszczona w górze i zakończona koronką. Ryc. 33 daje wymiar przedniej draperji; skośna część prawego brzegu bocznego, marszczy się do 8 c. i wszywa w pasek; linie podwójne cienkie na r. 33 oznaczają przecięcie wzdłuż poprzecznie, nad którem draperya fałduje się podług znaków i przyszywa na spódnicy. Róg górny zostający nad przecięciem tworzy bufę i koniec oszycty koronką widoczny na r. 40. Brzegi draperyi oszywają się koronką a boki zachodzą pod bryt tylny, 100 c. długi, 180 szeroki, w górze ściśle zmarszczony. Przody i plecy stanika mają materjał zwierzchni drobno sfałdowany. Pasek układa się w poprzeczne fałdy, ułożone na podszewce dopasowanej do figury. Kołnierz i żabot koronkowy.



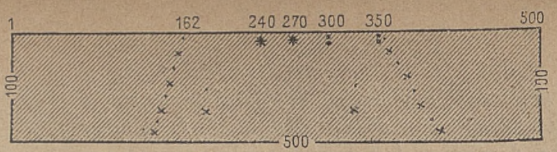
N. 22. Ubranie z paletocikiem.



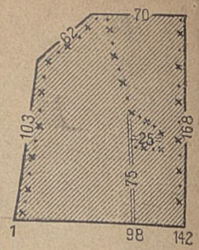
N. 29.—30. Przykrycia od kurzu w czasie przejażdżki powozem.



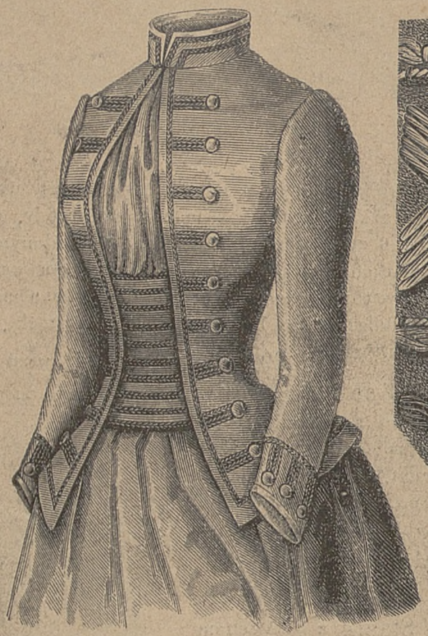
N. 31. Wymiar draperyi do ryc. 3 i 4.



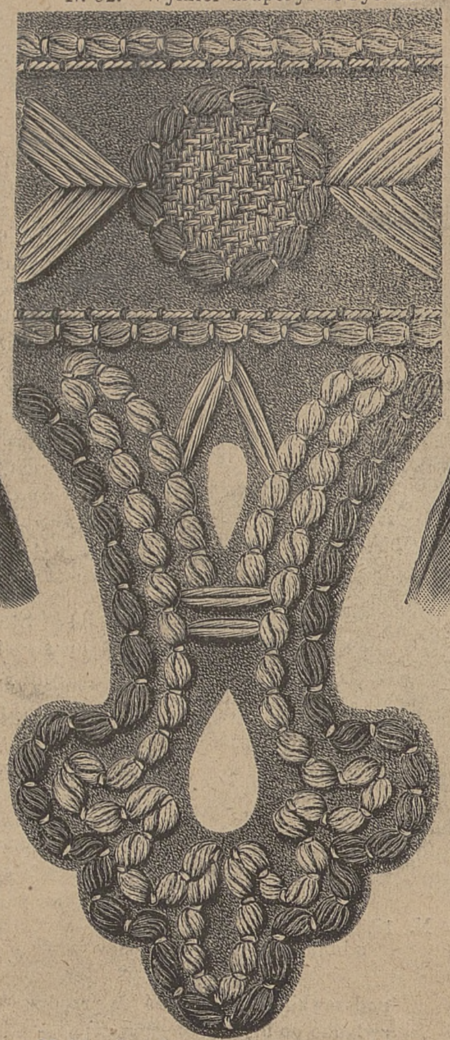
N. 32. Wymier draperyi do ryc. 42.

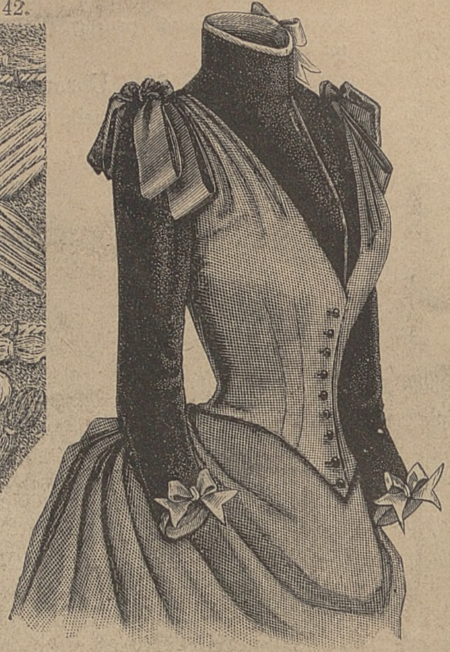


N. 33. Wymiar draperyi do ryc. 40.



N. 34. Stanik z szerokim pasem.



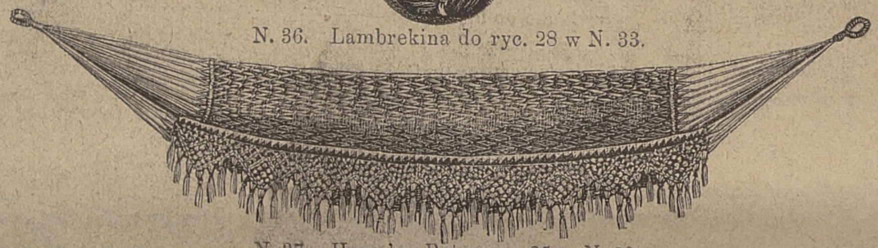


N. 35. Stanik ze szmizetką, do ryc. 2 w N. 33.

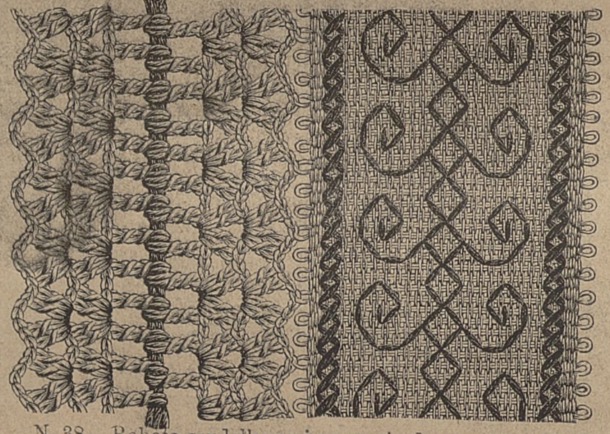
N. 36. Lambrekina do ryc. 28 w N. 33.



N. 40. Suknia z fałdowanym paskiem. Patrz ryc. 41 i 33.



N. 37. Hamak. Patrz ryc. 25 w N. 33.



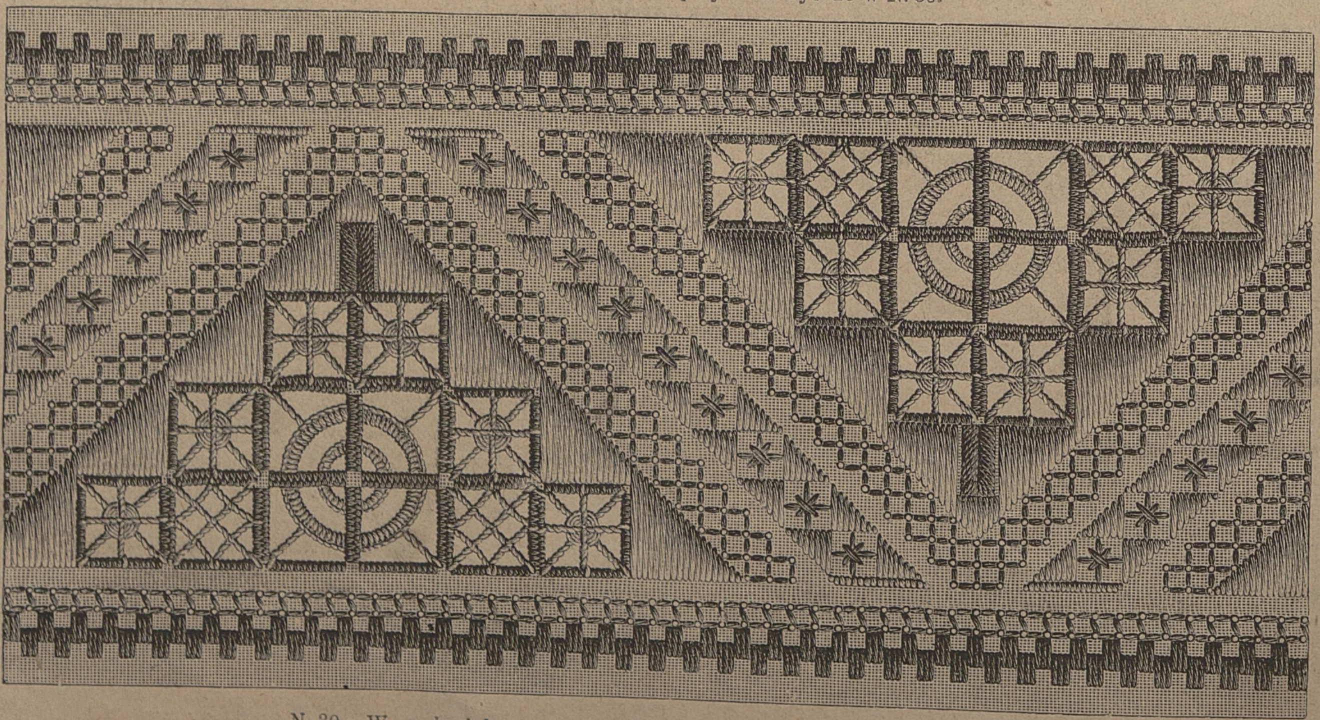
N. 38. Robota szydełkowa i wyszycie do ryc. 25 w N. 33.



N. 42. Suknia z koronkową draperyą. Patrz ryc. 32 i ryc. 17 w N. 33.



N. 41. Plecy do r. 40.





N. 43. Plecy do ryc. 6.

N. 39. Wszywka lub szlak do serwet, firanek i t. p. Haft płaski i kratka.